Nr 35. Kraków 1 listopada 1867. Rok II.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

# KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.



☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody.**

## Dwory i chaty.

II.

Wystawa owoców i kwiatów urządzona w zeszłym miesiącu w Krakowie staraniem stowarzyszenia ku popieraniu sadownictwa i jedwabnictwa, nadarza nam sposobność rozwinięcia szczegółowo myśli niektórych myśli naszych, które w poprzednim artykule w ogólnikowych zamknęliśmy ramach.

Podziwialiśmy na téj wystawie piękne owoce, nieraz wielkich rozmiarów i dziwnego kształtu, kosztowaliśmy wyborny miód, który pachniał różami, smaczne wiszniaki, ananasy, (winogrona były w bardzo mizernych okazach), widzieliśmy ulepszone ule, motyle jedwabnicze, kokony i jedwab własnego wyrobu — i wszystko to napełniło nas smutkiem.

Owoce z kilku ogrodów w Krakowie, z gospodarstwa w Krzeszowicach i kilku innych; jedwab PP. Kozubowskiego i Łuszczkiewicza — płody te, tu i owdzie wyprowadzane, służą ku przyjemności tych niewielu właścicieli, przynoszą im może nawet pewien dochód — ale omyliłby się, ktoby chciał ztąd wnioskować o produkcyi krajowéj. Nie była to wystawa płodów kraju, ale okazy odosobnionych prac, z których jedynie poznać można, coby to kraj m ó g ł wydawać — gdyby...

W Czechach, w Niemczech są owoce artykułem handlu, który zbogaca kraj. Znajdziemy i tam okazy gatunków wyborowych, nie one jednak stanowią o produkcyi, ale zwykle, pospolite czereśnie, gruszki, jabłka, śliwki, które są chodowane starannie. Nie ma gospodarstwa włościańskiego bez sadu; wszystkie drogi obsadzone drzewami owocowemi; surowe przepisy i czujność władz gminnych, a nadewszystko obyczaj powszechny, strzeże własności. Ztąd téż obfity zbiór owoców pozwala tym krajom zasilać niemi rokrocznie odległe targi, i mała praca przynosi wielkie zyski.

Tymczasem u nas cóż się dzieje? Przy dworach znajdą się jeszcze sady i ule, ale téż na têm koniec. Niektóre drogi poobsadzano wprawdzie drzewkami owocowemi, ale te, jeżeli się ostoją przed ciemną swawolą ludu, to jednak nigdy owoc ich nie ostoi się przed ciemnêm łakomstwem; niedojrzały bywa oberwany, a zwykle przytêm i gałęzie połamane. Przy gospodarstwach włościańskich jest sad i ul rzadkim wyjątkiem. A jednak wiemy, że prawie wszędzie u nas są owoce dla ludu jedyną w zimie omastą. Chowają owoc suszony, jaki się im zebrać zdarzy, zbierają pilnie cierpkie, dzikie płonki, które w zimie jako ulęgałki gotują. Zna więc lud pożytek owoców, ale w ciemnocie swojéj nie wie, że małym zachodem, bez kosztów można sobie przyjemności i majątku przysporzyć. Brak oświaty jest i tutaj przyczyną ubóstwa — i kraj nasz, w którym winogrona się udają, wydaje rokrocznie wielkie sumy na sprowadzane z zagranicy owoce.

Oto jest wielkie pole dla działania księży, nauczycieli wiejskich i dworów, a zwłaszcza pań. A nie potrzeba i tu nic więcéj, jak tylko zachowania dobrych sąsiedzkich stosunków, to już sposobność sama się poda. Bo czy to chrzest, czy wesele, czy jakakolwiek uroczystość wiejska, cóż łatwiejszego, jak wprowadzić u ludu zwyczaj, który z dawien dawna po dworach był zachowywany. Urodził się np. syn gospodarzowi i prosi p a ń s t w a w kumy — a więc niechajże go skłonią, by na pamiątkę urodzin zaszczepił kilka drzewek, któreby razem z chłopcem rosły. Przyjdą z muzyką państwo młodzi — niechajże na pamiątkę swego wesela szczepią drzewka, a jak ładnie urosną i owocem się okryją, toć będzie wróżba ich pomyślności i szczęścia; to samo i w dnie imienin, po wyjściu z choroby i w każdéj ważniejszéj okoliczności; a jak z drzewami, tak téż i z ulami. Na nic się nie przyda prawić ludowi szeroko o pożyteczności sadownictwa — ale trzeba korzystać z pory, z okoliczności nadarzonéj, ująć go za serce, wmówić w niego zamiłowanie i przywiązanie do sadu i pasieki, a zamiłowanie to się przyjmie i rozszerzy.— Kiedy się owocu doczeka, to już sam pozna się na têm czy kwaśny, czy słodki, i czy to warto zachodu. A i dzieci nauczy szanować ten dorobek, boć to będą ich rówienniki i świadki dobrych i złych przygód ich życia.

Zwykle jak dobrobyt wzrasta, rozbudza się też więcéj i szlachetniejsza strona człowieka, potrzeby umysłowe upominają się o swoje prawa. Niechno owoce, pasieki ulepszą żywność ludności wiejskich, niechno jeszcze i dochód ze sprzedaży przyniosą, to gdy wtedy panienki dworskie uczyć będą dziewczęta wiejskie robić świece z własnego wosku, prędzéj coś się i przeczyta po chatach wieśniaczych wieczorem, niż teraz przy dymiących smolakach. Tak to za sąsiedzką zgodą i dobrą wolą może pójść i wzrost dobrobytu ogólnego i wzrost oświaty. Żaden szkodliwy wpływ, ani agitacja nie jest w stanie przeszkodzić działaniu dobréj woli. Serce do serca potrafi zawsze przemawiać zrozumiałym językiem. Niechaj nam jak chcą utrudniają działanie wspólne, byleśmy się trzymali starego przysłowia „ziarnko do ziarnka, będzie miarka“, byle każdy w swoim zakresie, pocichu, dla sprawy a nie dla rozgłosu, z miłości a nie dla przemijających celów robił swoje — a bądźmy pewni, że taka praca przyniesie owoce. Zobaczymy, że taka praca każdéj pani i panienki wiele dokazać może i dobrym przykładem całe sąsiedztwa za sobą pociągać, że praca taka ciągła, bez kosztów i trudów nadzwyczajnych więcéj warta i więcéj może, niż najpiękniejsze rozprawy w dziennikach i najszumniejsze mowy przy wyborach.

## Greckie pacholę.

(Z WIKTORA HUGO.)

I przeszli Turcy.... Grecki kraj wesoły,
Bogate miasta, urodzajne niwy
Dymiących zgliszczy nakryły popioły;
W łzach i żałobie lud niegdyś szczęśliwy
Błąka się, kryjąc w ruinach.

A greckie wyspy zielone, kwitnące —
Teraz się smutnie przyglądają w falach,
I po wybrzeżach dziewice tańczące
Dziś takie nieme, rozpłakane, w żalach —
Topią łzy w morskich głębinach.

W koło pustynia; lecz przy jednym domie,
Zczerniałym z ognia i dymu pożogi,
Zostało dziecię siedzące na złomie.
Tu zapomniane wśród boju i trwogi
Schyliło główkę zlęknione.

Mały krzew ciemnéj i wonnéj tarniny,
Przetkany gęsto kwiatami białemi,
Dawał schronienie dla biednéj dzieciny,
Co w koszulince przysiadła na ziemi,
Trąc oczka z płaczu czerwone.

Oj biedne dziecię, z nóżkami bosemi —
Które ci krwawią ciernie i kamienie,
Cóżby uczynić z oczkami twojemi,
By je nie ćmiły słonych łez strumienie,
Jak się ćmi słońce chmurami;

Aby w tych oczek przeczystym błękicie
Widać znów było duszkę uśmiechnioną,
Aby wróciło ci wesołe życie,
Abyś podniosło główkę pochyloną,
Główkę z złotemi włosami?

Cóż bo chcesz dziecię, by stać się wesołém?
Jasne twe włoski, co płyną w pierścieniach,
Niby korona lśnią nad twojém czołem —
Tak chodzą święci anieli w promieniach,
Po mlecznych drogach wśród światów?

I nad tém czołem przeszły już pioruny,
Już posmutniało od strachu i bólu,
Wiatr stargał włosy, jako złote struny,
Jak liście wierzby, rosnącéj na polu —
Wpośród podeptanych kwiatów.

I cóż rozprószy z tego czoła chmury?
Gdybym dał tobie cudowną lilją,
Jednę z tych, które wschodnich rzek lazury
Stroją i brzegi ich swym kwiatem kryją —
Niby hurysek zasłony?

Gdybym dał tobie owoc z tego drzewa,
O którém niańki prawią dzieciom dziwy,
Że taką przestrzeń swym cieniem odziewa,
Że, by ją przebyć, jeździec nieszczęśliwy,
Sto lat pędzi jak szalony?

By ci śmiech wrócił — dałbym tobie ptasze
Tkliwiéj nucące niż organów tony,
Onoby pieśni śpiewało ci wasze,
Jakie tam z wiosną śpiewa gaj zielony,
Ocknij się tylko z popłochu! —

Greckie pacholę o błękitném oku
Odrzekło na to z źrenicą płomienną:
„Nie chcę owocu, lilij z nad potoku,
Ani ptaszyny; — zlituj się nademną,
Daj mi kul tylko i prochu“.

# Barbox Bracia.

(Charles Dickens.)

(Ciąg dalszy.)

Nareszcie, po upływie kilku dni, zaświecił znowu piękny, jasny, prawie jesienny dzień — było to w sobotę.

Okno było otwarte, a dzieci już odeszły. Cóż zresztą w tém dziwnego, kiedy podróżny cierpliwie w kącie czatował był i czekał na ich odejście.

— Dzień dobry — odezwał się do leżącéj twarzyczki, tym razem wyraźnie zdjąwszy kapelusz dla powitania jéj.

— Dzień dobry panu.

— Cieszę się, że nakoniec znowu na pogodne niebo spoglądasz pani.

— Dziękuję panu, jesteś bardzo łaskaw.

— Obawiam się, że pani chorą jesteś.

— Nie panie — cieszę się dobrém zdrowiem.

— Ale wszak pani zawsze leżysz?

— Tak, ja zawsze leżę, bo siedzieć nie mogę, lecz pomimo tego nie jestem chorą.

Śmiejące oczy zdawały się bawić tém nieporozumieniem.

— Niechciałbyś pan przyjść tu na górę? Jest ztąd widok bardzo piękny i rozległy, a przekonałbyś się, że nie jestem chorą, kiedyś tak łaskaw zajmować się mojém zdrowiem.

Powiedziała to, żeby go ośmielić, gdyż stał na dole, wahający się, z wyraźnèm życzeniem zbliżenia się, z ręką nieśmiale opartą o klamkę wrót ogrodowych; i ośmieliła go rzeczywiście, bo wszedł.

Pokój na piętrze był biały i bardzo czysty, o niskiém sklepieniu. Jego jedyny mieszkaniec. Feba spoczywała na łożu tak wysokiém, że twarz jéj na równi z oknem się znajdowała. Łoże to równie było białe, suknia jéj, czy szata, bardzo skromna, tego samego koloru błękitnego, co wstążka we włosach, nadawała jéj spojrzenie niebiańskie, wyglądała jak zjawisko eteryczne, spoczywające pomiędzy obłokami.

Z obejścia jéj przekonał się, że ona na domysł odgadła od razu, że ma przed sobą człowieka smutnego i małomownego — to go ośmieliło i było ulgą dla niego. Pomimo tego jednak niezgrabnie z wachaniem i przymusem zbliżył się, podał jéj rękę, przysunął krzesło i usiadł przy jéj łożu.

— Widzę obecnie, począł, (nie szło mu jednak gładko), czém pani ręce swoje zatrudniasz, patrząc tu z drogi, zdawało mi się, że na czémś wygrywasz.

Bardzo zręcznie i zwinnie robiła ona koronkę. Krosienka spoczywały na jéj piersiach, a szybkie ruchy i obroty jéj rąk po krosnach podczas roboty usprawiedliwiały jego pomyłkę.

— To szczególne, odpowiedziała z powabnym uśmiechem, bo często sama wyobrażam sobie, że wygrywam melodje, kiedy pracuję.

— Czy pani jesteś muzykalną?

— Nie. Zdaje mi się, że potrafiłabym wiele melodyj wysnuć, gdybym miała instrument tak zręcznie dla mnie zastosowany, jak te krosna, ale być może, że się mylę. Na żaden sposób nigdy tego nie doświadczę.

— Masz pani głos bardzo piękny. Proszę mi wybaczyć, słyszałem, jakeś śpiewała.

— Z dziećmi, zawołała rumieniąc się. O tak jest, ja śpiewam z dziećmi, jeźli to śpiewem nazwać można.

Barbox Bracia spojrzał na dwa małe dziewczątka, siedzące w pokoju i ośmielił się pytać, czy ona lubi dzieci, i czy posiada nowy sposób nauczania ich?

— Bardzo dzieci kocham — rzekła, potakując głową; lecz tylko tyle wiem o nauce, o ile mnie to zajmuje i uszczęśliwia, kiedy one się uczą. Możeś pan słysząc uczniów moich śpiewających, powziął mylne zdanie sądząc, że jestem zdolną nauczycielką, i że ja wymyśliłam ten sposób nauczania. O nie! ja tylko słyszałam i czytałam o téj nowéj metodzie — a ponieważ zdawało mi się to pięknie i mile nauczać dzieci w sposób tak odpowiedni dla tych wesołych, młodych ptasząt, przyjęłam go i postępuję według niego.

Przez cały ten czas ręce Feby pilnie zajęte były krosnami, gdy umilkła, szelest spowodowany robotą zastępował chwilowo rozmowę. Barbox Bracia korzystał ze sposobności, by się bliżéj przypatrzyć pracowniczce. Osądził, że może mieć lat trzydzieści, twarz jéj była pogodna i przeźroczysta, oczy ciemne, duże i błyszczące, nie miały wyrazu biernéj rezygnacyi, lecz były ożywione i wesołe, a to głównie nadawało jéj tyle powabu. Nawet czynne jéj ręce, które delikatnością i przeźroczystością swoją litość wzbudzały, pracowały koło swego zadania z tak radośną odwagą, że zdawały się wszelką litość odrzucać jak obelgę.

Widząc, że oczy podniosła ku niemu, zmięszany zwrócił wzrok do okna mówiąc:

— Śliczny widok!

— Śliczny na prawdę panie. Czasem koniecznie radabym była usiąść, choć raz tylko, by doświadczyć, jakie on czyni wrażenie, kiedy kto patrząc prosto głowę trzyma; lecz jakżeż to życzenie było dziecinném, wszak ten widok nie może być powabniejszym dla kogo innego bardziéj, niż dla mnie.

Oczy jéj podczas rozmowy zwrócone były do okna z wyrazem uwielbienia i zachwytu, nie było w nich śladu smutku, lub goryczy.

— Te liczne linje kolei żelaznéj, dym i para, unoszące się w obłoki, ożywiają mi ów krajobraz. Myślę o licznych podróżnych, którzy mogą jeździć, gdzie im się podoba, czy to w interesie, czy dla rozrywki — a to zaludnia mi ten widok towarzystwem, jeżeli pragnę

towarzystwa. Tam jest wielki dworzec, nie widzę go ztąd, bo go górka zasłania, ale wiem, że on tam położony, a często mnie i odgłos ztamtąd dochodzi. Czasem mi się zdaje, jakoby wiele miejsca i przedmiotów było blisko mnie, których może nigdy nie zobaczę. A tak widzisz pan, mówiła Febe, że nie jestem tak chorą, jak się panu zdawało, i rzeczywiście mam się bardzo dobrze.

— Pani masz szczęśliwe usposobienie, rzekł Barbox Bracia cokolwiek zmięszany, jak gdyby chciał własne usposobienie uniewinnić.

— Gdybyś pan znał mego ojca, odpowiedziała, jakie on ma szczęśliwe usposobienie! Niech to panu nie przeszkadza, dodała, kiedy on zdawał się przelękniony, słysząc kroki po schodach, obawiając się, że będzie zaniedbany dla natrętnego gościa. „Mój ojciec nadchodzi“. Drzwi się otwarły, ojciec jéj stanął w progu.

— Wszak to Lamps, wykrzyknął Barbox Bracia podskoczywszy z krzesła. Jak się macie panie Lamps?

Na co Lamps odpowiedział: Wszak to podróżny do Nikąd. Jak się pan masz?

I ściskali sobie ręce ku wielkiemu zdziwieniu córki Lampsa.

— Szukałem was dość często od owéj nocy, powiedział nareszcie Barbox Bracia, lecz nigdy was nie zastałem.

— Wiem o têm, wiem o têm — odpowiedział Lamps. Tak pan często bywałeś na dworcu, nie jadąc jednak nigdzie, że pana tam nareszcie przezwali podróżnym do Nikąd; proszę więc nie obrazić się, żem pana tak nazwał w pierwszém zdumieniu, gdym go tu zobaczył.

— Cóż w têm złego? wszak to nazwa tak dobra, jak każda inna. Czy nie mógłbym się pana o jednę rzecz w sekrecie zapytać?

I wziął Lampsa za guzik aksamitnego surduta i odwiódł go od łoża córki w inną stronę pokoju.

— Czy przy têm łóżku śpiewacie owe śpiewki?

Lamps głową kiwnął.

Podróżny do Nikąd poklepał go po ramieniu i spojrzeli po sobie.

— Moja kochana, rzekł Lamps do swojéj córki, spoglądając na nią, to na jéj gościa — jestem tak zdumiony twoją znajomością z tym panem, że muszę dopiero przyjść do siebie z zadziwienia.

W téj chwili stali oboje przy jéj łożu, a ona pracowała na krosienkach.

— Córka pańska mówiła mi, rzekł Barbox Bracia z oporem i wstydliwie, że nigdy nie siedzi.

— Ani też nigdy nie siedziała. Jéj matka, która umarła, kiedy ona rok i dwa miesiące liczyła, podlegała silnym napadom spazmów, a ponieważ nigdy o têm przedemną nic nie wspominała, nie mogłem też na nią uważać. Śród takiego napadu upuściła raz dziecko i tak się to nieszczęście stało.

— Żona pańska popełniła wielką krzywdę, mówił Barbox Bracia brwi marszcząc, tając się przed panem, że na spazma cierpi, kiedy szła za mąż.

— Mój panie, odpowiedział Lamps, jak gdyby chciał nieboszczkę uniewinnić: często z Febe mówiliśmy o têm. Ależ mój Boże wszak po największéj części tyle mamy przywar i ułomności, że gdybyśmy się chcieli z tego wyspowiadać zanim się żenimy, toby wielu z nas nigdy nie sprawiło wesela!

— A czyby to nie było lepiéj?

— Nie w tym wypadku panie, zawołała Febe, podając rękę ojcu.

— Nie, nie w tym wypadku, zawołał ojciec, pieszcząc jéj rękę pomiędzy swojemi.

— Zawstydzacie mnie, rzekł Barbox Bracia z rumieńcem — muszę się wam wydawać dzikim. Chciałbym coś więcéj od was się dowiedzieć, nie wiem wprawdzie, jak was o to poprosić, bo przyznaję, że jestem człowiek sztywny, melancholiczny i niemiły, ale radbym szczérze coś bliższego o was posłyszeć.

— Z całego serca życzeniu pana uczynimy zadość, rzekł Lamps wesoło — więc przedewszystkiém musisz się pan dowiedzieć, jak się zowię.

— Stój, przerwał gość lekko czerwieniąc się, cóż mnie obchodzi wasze nazwisko! Lamps wystarcza, lubię tę nazwę, jest jasną i zrozumiałą, cóż więcéj potrzeba?

— Słusznie mój panie — odrzekł Lamps — w ogóle nie mam innego nazwiska na kolei; lecz sądząc, że pan podróżujący pierwszą klasą, i odwiedziwszy nas w charakterze prywatnym, zechcesz....

Gość milcząc, poruszeniem ręki odparł ten wniosek, a Lamps przy téj sposobności wzruszeniu swemu zadość uczynił, przez co jego chustka od nosa nie zyskała na czystości.

— Zdaje mi się, że ciężko pracujecie, rzekł Barbox Bracia.

— Nie zbyt ciężko, począł Lamps, lecz córka przerwała:

— O tak panie, on bardzo ciężko pracuje — czternaście, piętnaście, a czasem i ośmnaście godzin dziennie — a czasem nawet i dwadzieścia cztery godzin spełna.

— A jakżeż pani się powodzi z jéj szkołą i pracą ręczną?

— Szkoła jest tylko rozrywką dla mnie, przerwała, zwracając na niego duże, ciemne oczy, jakby zdziwione nad jego tępem pojęciem — rozpoczęłam ją, kiedy jeszcze byłam dzieckiem, by sobie zabezpieczyć towarzystwo innych dzieci, czy pan tego nie rozumiesz? To nie była praca. Jeszcze dotąd szkołę utrzymuję, bo przez to mam zawsze dzieci koło siebie, to nie jest

praca. Czynię to z upodobania nie dla pracy. A co do moich krosien, (tu jéj czynne ręce, które na chwilę przerwały były pracę, znowu pilnie poczęły pracować), praca ta towarzyszy moim myślom, kiedy rozmyślam, a moim śpiewkom, kiedy nucę, a to również nie jest pracą. Wszak pan sam sądziłeś, że to muzyka, czy nie prawda? a we mnie to wzbudza to samo uczucie.

— Panie, wykrzyknął Lamps cały rozjaśniony, dla niéj wszystko przybiera postać muzykalną!

— A przedewszystkiém mój ojciec, zawołała Febe rozradowana, wskazując cienkim palcem na niego — mój ojciec więcéj ma w sobie muzykalności, aniżeli cała banda miedzianych instrumentów.

— Twoja miłość ku mnie moje dziecko jest nader twliwą, i dla tego schlebiasz twemu ojcu, odparł Lamps rozpromieniony.

— Nie schlebiam mu wcale zapewniam pana, gdybyś pan kiedy słyszał jak mój ojciec śpiewa, przekonałbyś się, że mam słusznie; ale pan go nigdy nie usłyszysz, bo on przed nikim nie śpiewa, tylko przedemną. Chociaż najbardziéj jest zmęczonym, zawsze mi śpiewa, kiedy do domu powraca. Od dawien dawna, kiedym to jeszcze leżała jak biedna, mała, połamana lalka, on zwykł śpiewać dla mnie, on nawet układał piosenki z każdego żartu, jaki między nami się wydarzał, a co więcéj, czyni to jeszcze po dziś dzień. O ojcze, ja wszystko o tobie powiem temu panu, kiedy on tego pragnie; — mój ojciec jest poetą panie!

— Moja droga, odezwał się Lamps dość poważnie w téj chwili, nie radbym, ażeby ten pan powziął fałszywe zdanie o twoim ojcu, i ażeby mu się zdawało, że ja zwykłem w sposób elegiczny zapytywać gwiazdy o to, co one czynią — ja do tego nie mam ni czasu, ni śmiałości moja droga.

— Mój ojcze, dokończyła Febe poprawiając się, czyń zawsze tylko to, co jest dobre, co jest prawe. Mówiłeś mi pan przed tém, że mam szczęśliwe usposobienie, czy w tém moja zasługa?

— A czy w tém moja zasługa? pytam się pana? odparł Lamp. Spojrzyj pan na nią! ona jest zawsze taką, jaką ją pan teraz widzisz. Zawsze pracuje (choć ztąd tylko lichy zarobek) zawsze zadowolniona, zawsze wesoła, zawsze zajmująca się drugimi. Mówiłem, że zawsze jest taką, jak w téj chwili, a taką jest zwykle z małą tylko odmianą, co prawie na jedno wychodzi. Bo gdy niedziela nadchodzi i czas wolny dla modlitwy, a kiedy dzwony kościelne przestają wzywać do służby Pańskiéj, wtedy ona mi czyta modlitwy i psalmy dziękczynne, i śpiewa je głosem tak cichym i rzewnym, że zdaje mi się, że to wszystko pochodzi prosto z nieba i znowu napowrót tam się unosi!

Czy to w skutek skojarzenia tych słów z czasem spokojnym i świątecznym, do którego się odnosiły, czy też w skutek ściślejszego jeszcze skojarzenia tych słów, z obecnością Zbawiciela nad łożem kaleki, jéj zwinne palce zastanowiły się były nad krosnami, gdy mówił, i objęły jego szyję, kiedy się ku niéj schylał.

Gość ich mógł uważać, że ojciec i córka wyposażeni byli nadmiarem czułości; lecz że jedno dla miłości drugiego starało się nie wyjawić jéj, ale raczéj poskramiać — a niezmącona wesołość, czy to wrodzona, czy téż nabyta, była pierwszym przymiotem obojga. Po krótkiéj chwili Lamps otarł znowu twarz zatłuszczoną chustką, co u niego oznaczało mocne wzruszenie; a uśmiechnięte oczy Feby zwracały się znowu kolejno to na niego, to na robotę, lub téż na obcego.

— Jeżeli mój ojciec, rzekła radośnie, zapewnia pana, że zajmuję się ludźmi, którzy nic o mnie nie wiedzą, o czém zresztą sama pana uprzedziłam, musisz pan wiedzieć, że to jego dzieło.

— Nie, tak nie jest, odparł on.

— Niech mu pan nie wierzy, bo tak jest rzeczywiście. Pana by to zdziwiło, jak wiele nowin on codziennie dla mnie znosi. Patrzy się do wagonów i opowiada mi, jak panie były ubrane, tak, że znam wszystkie mody. Zagląda do wagonów i opowiada mi, wiele widział par kochanków, a wiele młodych stadeł, odbywających wycieczkę po weselu, tak, że wiem wszystko, co ich się tyczy. Zbiera pozostałe we wagonach gazety i książki, tak że mam zawsze co do czytania. Opowiada mi o ludziach chorych, jeżdżących dla pokrzepienia nadwątlonych sił, a zatém i o nich się dowiaduję. Jedném słowem opowiada mi wszystko, co widzi i słyszy przy robocie, a nie możesz pan sobie wyobrazić, jak wiele on widzi i wykrywa!

— Co do gazet i książek moja droga, rzekł Lamps, jest to rzeczą jasną jak słońce, że w tém nie moja zasługa, gdyż one nie należą do moich obrywek. Ja je dostaję w ten sposób mój panie: konduktor jaki spotyka mnie i woła: hola Lamps, gdzież wy jesteście, znalazłem te gazety i schowałem je dla waszéj córki, jakże się ma? Lub widzi mnie jaki tragarz na kolei i powiada mi: Otóż macie Lamps kilka książek dla waszéj córki, spodziewam się, że się ma dobrze? a to podwaja wartość tych rzeczy. Gdyby miała tysiąc funtów szterlingów leżących w skrzyni, nie troszczyliby się tyle o nią, ale tak jak się rzeczy mają, rozumiesz pan, to jest, dodał Lamps z pośpiechem, ponieważ nie posiada tysiąc funtów, są bardzo o nią troskliwi. A co się tyczy młodych par, i młodych stadeł, wszak to rozumie się przez się, że o nich opowiadam, co tylko się dowiaduję, wiedząc, że w całém sąsiedztwie nie ma jednéj pary czy to kochanków, czy nowożeńców, coby z własnego natchnienia nie przyszli zwierzyć się Febie.

Z wyrazem triumfu podniosła oczy do Barbox Bracia, gdy mówiła:

— To jest prawda panie, gdybym ja mogła wstać

i pójść do kościoła, policzyćbym nawet nie była w stanie, jak często by mnie zapraszano za druchnę. Lecz gdybym była zdrową, może nie jedna dziewczyna byłaby zazdrosną na mnie, gdy tak jak jestem, nie wzbudzam niczyjéj zazdrości. Nie dostałabym tyle ciast i tyle cukrów z każdego wesela, ile teraz składają przy mojéj poduszce, dodała zwracając swą twarz z lekkiém westchnieniem i uśmiechem do ojca.

Barbox Bracia domyślił się po przybyciu małéj dziewczyny, najdoroślejszéj ze wszystkich uczennic, że ona tam posługiwała, i że przyszła sprzątać, bo nosiła wiadro tak wielkie, że się wygodnie w niém ukryć mogła, i szczotkę do zamiatania trzy razy wyższą, aniżeli ona. Wstał więc i pożegnał się, mówiąc, że wstąpi znowu ich odwiedzić podczas swéj przechadzki, jeżeli Febe pozwoli. (Ciąg d. nast.)

---

# Eugeniusz Delacroix.

(ŻYCIORYS.)

Eugeniusz Delacroix urodził się roku 1798 w Charenton koło Paryża. Ojciec jego był prefektem w Bordeaux.

Trudno mieć dziecinne lata bardziéj zagrażane najrozmaitszemi niebezpieczeństwy, jak Eugeniusz. Mając lat trzy chłopczyna był powieszonym, spalonym, utopionym, otrutym, zaduszonym!

Brat jego najstarszy, kapitan w wojsku francuskiém, podnosi Eugeniusza, aby go ucałować — dziecko bawi się okręcaniem sznurów od munduru około swéj szyi, brat otwiera ramiona i Delacroix powieszony!

Ratunek spieszny otrzeźwia dziecinę.

Jednego wieczora nieostrożna piastunka zostawia zapaloną świecę koło firanek łóżka: przeciąg porusza lekki muszlin, przysuwa do płomyka; ogień szybko szerzy się, pościel płonie i Delacroix pali się! woła o pomoc, sługi nadbiegają i gaszą płomienie.

Stary Delacroix zamienia prefekturę w Bordeaux z takąż posadą w Marsylii. Miasto daje nowo-przybyłemu ucztę w porcie. Przechodząc z pokładu jednego okrętu na drugi, służący niosąc Eugeniusza, utyka, dziecko wpada w morze i Delacroix tonie! Jeden z obecnych zdarzeniu majtków, rzuca się za nim i ratuje przyszłego malarza.

Późniéj ciekawy chłopiec znajduje w kancelaryi ojca gryszpan, używany do czyszczenia kart geograficznych; — kolor podoba mu się, — Delacroix był zawsze kolorystą — wypija płyn i truje się! Ojciec wraca, znajduje flakon próżny, domyśla się prawdy, poséła po lekarza; lekarz poleca emetyk i dziecko wyratowane.

Raz w nagrodę za posłuszeństwo, matka daje mu grono suszonych winogron; Delacroix późniéj nadzwyczaj wstrzemięźliwy, dzieckiem był łakomym: zamiast jeść jagodę po jagodzie, całe grono kładzie do ust i stara się połknąć; grono zostaje mu w gardle i dławi go. Matka roztwiera mu usta i wyciąga grono z gardła za wystającą gałązkę.

Tak szczęśliwie uratowane dziecię oddają rodzice w osmym roku do liceum cesarskiego. Tu zostaje do lat siedemnastu, pilnie się uczy, spędza wakacye u ojca lub w domu swego wuja malarza Riezener, gdzie poznaje się z Quêrin.

Zawsze zamiłowanie do malarstwa górowało w nim. Mając lat sześć, w roku 1804 wyrysował białą kredą na czarnéj desce wkroczenie Francuzów do Anglii — tylko że Francya wyobrażoną była przez wysoką górę, Anglia zaś przez dolinę. Jak widzimy, wiadomości geograficzne nie były jeszcze rozwinięte w sześcioletnim chłopcu.

Zdecydowano, że Delacroix kształcić się będzie na malarza w pracowni pana Quêrin. Wprawdzie familja robiła trudności. Ojciec chciał, żeby syn wstąpił do administracyi; matka zaś, żeby był dyplomatą: ale w ośmnastym roku Delacroix stracił majątek, zostało mu 40,000 franków i możność poświęcenia się malarstwu.

Dziwném jest, że Delacroix z namiętnością wyobraźni, jaką tylko Rubens może posiadał, był prawie skąpym.

Spotkawszy raz Aleksandra Dumasa, z którym żył w przyjaźni, spytał go: Czy myślisz o przyszłości? czy zbierasz nadal?

Dumas odpowiedział śmiejąc się:

— Moją dewizą było i jest: *Deus dedit, Deus dabit.* Bóg dał, Bóg da.

Takiéj dewizy nie przyjąłby nigdy Delacroix.

Delacroix pracował wytrwale u Quêrin. Pierwszy jego obraz: „Dante przepływający Acheron“. Jest to jeden z jego najlepszych tworów. Dawszy ostatni rzut pędzla na ciemne przejście piekieł, pokazał obraz panu Quêrin.

Quêrin zmarszczył brwi, zacisnął usta. Znalazł, że postacie Danta i Wirgiliusza są dosyć dobre, choć im brak szlachetności; ale ganił, że w skazanych na wieczne katusze, są ważne błędy rysunku. — Mówił daléj, że Delacroix jest poetą a nie rysownikiem, że uczeń twórcy „Eneusza i Didony“ *) nie ma prawa podobnych rzeczy pozwalać sobie, i że takiego ucznia zaprzéć się musi w imieniu Dawida i swojém.

Delacroix schylił głowę w milczeniu; pocieszyło go jednak powodzenie, jakiego doznał ten obraz skrytykowany na wystawie roku 1822.

---

*) Sławny obraz Quêrin'a.

W chwili gdy go miał odsełać, zaszła ważna przeszkoda. Każden obraz posłany na wystawę, musi być ozdobny w ramy. Ramy téj wielkości kosztowały 500 fr. To było niepodobnym wydatkiem dla Delacroix, któren posiadał właśnie piątą część téj kwoty.

Wziąść na kredyt nie było w zwyczajach jego.

Szczęściem w tym samym domu mieszkał stolarz. Widząc kłopot artysty, ulitował się i ofiarował się, że mu ramy zrobi bezpłatnie.

Delacroix przyjął z wdzięcznością. Stolarz zabrał się do pracy, ale wyrabiania przechodziły jego umiejętność. Złączył więc cztéry deski w ramy, malarz pociągnął je rybim karukiem i posypał złotym proszkiem.

W gorączce oczekiwał otwarcia salonu; pierwszy rzucił się w otwarte podwoje. Nagle znajduje się naprzeciw swego dzieła — wykrzyknął z podziwienia! Obraz jaśni w pysznych ramach! W téj chwili czuje, że go ktoś lekko po ramieniu trąca: poznaje posługacza Luwru, z którym często rozmawiał, gdy przychodził kopiować. „No, musisz pan być kontent!“ „„Z czego?““ zapytał Delacroix jeszcze oszołomoniony swém niespodzianém szczęściem.

„Ależ, odpowiedział posługacz, z ram które baron Gros kazał dać do pańskiego obrazu“.

„„A tamte ramy?““ nieśmiało spytał malarz.

„Doszły połamane; zresztą ci panowie z Jury orzekli: że nie były godne obrazu“.

Delacroix nie wiedział co ma myśleć.

Pobiegł do mieszkania barona Gros wzruszony, drżący zadzwonił.

Przypadek zrządza, że sam Gros otwiera.

„Kto pan jesteś i czego żądasz odemnie?“ spytał tenże ze zwykłą sobie szorstkością.

„„Panie baronie, przychodzę złożyć podziękowanie““.

„Za co?“

„„Za ramy dane do mojego Danta““.

„Ah! więc to pan jesteś Delacroix! tak, poznaję, widziałem pana raz w pracowni Quérin'a. Czy pan wiesz, że wymalowałeś arcydzieło? Naturalnie co do kolorytu, bo co rysunek, to niestety! nie jest siłą pana. Przychódź pan do nas często, a nauczymy się widzieć naturę prawdziwie i oddawać dobrze w rysunku linij“.

Delacroix ciągle się kłaniał, ale oczy bezprzestannie patrzały na trzy arcydzieła wiszące na ścianie: „Morowe powietrze w Jaffie“, „Pole bitwy w Eylau“, „Bitwa pod Aboukir“.

Delacroix byłby chętnie dał wszystko co posiadał — prócz swego obrazu, żeby tylko do woli mógł przypatrzyć się tym utworom.

Gros spostrzegł to.

„Muszę oddalić się z domu — rzekł — ale jeżeli się tu co znajduje, co pana zająć może, to zostań pan, tylko odchodząc, zostaw klucz portierowi“.

Przez trzy godziny studjował Delacroix obrazy, aż do najmniejszych szczegółów. Gdy Gros powrócił i zastał młodego artystę w zachwyceniu, uśmiechnął się i powiedział:

„Mój przyjacielu, trzy godziny patrzysz na te obrazy. Jest to zaszczyt, jakiego nigdy jeszcze nie doznały“.

Z polecenia barona Gros rząd zakupił obraz Delacroix za 2000 franków.

Dwa lat upłynęło (wtenczas wystawy obrazów tylko co dwa lata otwierane były). Saison roku 1824 rozpoczął się. Delacroix wystawił scenę „z rzezi w Chios“. Obraz pełen siły i światła, jakby dzieło Weronesa, pełen poezyi Bayronowskiéj, namiętnéj, ognistéj! Może odmiany kolorów zbyt rażące na korzyść światła, ale jakaż harmonia całości, jaki instynkt kolorytu, nagradzający brak głębszéj nauki. Ta Greczynka przywiązana do konia, jak jest cudną! delikatną! jak się pojmuje, że to białe ciało o kamienie, skały, ciernia rozedrze się — rozsypie jak płatki śniegu, — jak listki róży!

Co tłómaczy fanatyzm, jaki wzbudził Delacroix w publiczności, to może ta wściekła zawiść artystów, jaka go prześladowała.

Baron Gros opuścił go; podług niego Delacroix był zdrajcą, renegatem, „to nie jest rzeź w Chios“, zawołał: „to rzeź malarstwa“.

Delacroix pamiętając, że ten wielki malarz dużo swoją protekcją dla niego uczynił, spotkawszy się z nim w sali wystawy, przysuwa się do niego i kłania z uszanowaniem: „Nie o to idzie, aby się grzecznie kłaniać, rzekł Gros, ale trzeba dobrze rysować, i nie brać złe za dobre“.

Gérard odwrócił się również od niego mówiąc: „On jest człowiekiem, któren po dachu biega“.

Panowie akademicy szukali, żeby jako przeciwnika postawić mu za współzawodnika malarza w zupełnie odmiennym kierunku. Wynaleziono pana Ingres, o którym dotąd mało kto wiedział.

Wygłaszają sławę Ingr'a, wieńczą Ingr'a, uwielbiają Ingr'a — wszystko przez nienawiść do Delacroix.

Delacroix maluje „Danta“, Ingr'a dekorują.

Delacroix maluje „rzeź w Chios“, mianują Ingr'a członkiem instytutu.

Od téj chwili krytyka woła: „Delacroix jest kolorystą, ale on nie rysuje“.

Przyznano mu, że jest kolorystą, bo kolorytu nikt zaprzeć nie może. Zresztą mówi się o człowieku: urodził się kolorystą; podobnie jak uprzywilejowani kuchciki o których mówi Brillat-Savarin: rodzą się piekarzami. Nie przypuszczają, żeby koloryt był nauką, i mylą się; dowodem tego są uczniowie Tyciana, Pawła Weronesa, Rubensa i Rembrandta, którzy przez naukę nabyli świetnego kolorytu.

Rząd zakupił „Rzeź w Chios“ za 6000 franków.

Delacroix użył tych pieniędzy na podróż do Anglii.

Anglia posiada skarby w prywatnych zbiorach; ogromne majątki tamtejszych magnatów, pozwalają im dogadzać swemu zamiłowaniu do malarstwa. W Anglii Delacroix wymalował pięć obrazów:

1) Hamlet z grabarzami.
2) Giaur.
3) Tasso w domu warjatów.
4) Grecja na ruinach Missolunghii.
5) Marino Faliero.

Ten ostatni obraz ukończył w Paryżu, i opowiadał, że malując nieszczęsnego dożę weneckiego, odkrył swoją teorję o kolorach.

Trzeba mu było dla doży i senatorów złotolitych płaszczów, nadaremnie użył wszystkich odcieni żółtych, płaszcze prawdziwéj barwy nie miały. Postanowił zatém studjować w Luwrze obrazy Rubensa, tego drugiego Tyciana. Nie tracąc czasu, kazał zawołać fiakra. W kwadrans dorożka stała przed domem. Delacroix spiesznie zbiegł ze schodów. Wówczas paryskie dorożki były malowane na kanarkowo-żółty kolor. Delacroix stanął jak wryty przed pudłem powozu, który świecił przepysznym złocistym kolorem. Cóż nadało kanarkowemu kolorowi tę jasność? Oto cień fioletowy. Delacroix nie potrzebował już jechać do Luwru, zapłacił fiakra i wrócił do pracowni.

Na wystawę roku 1826 Delacroix dał dwa obrazy:

1) Justyniana.
2) Chrystusa na górze Oliwnéj.

Chrystus kupiony przez rząd i ofiarowany do kościoła świętego Pawła i Ludwika.

Wystawa roku 1826 trwała sześć miesięcy i miala 3 odmiany.

Ostatnie otwarcie muzeum ukazalo dzieło ogromne „Sardanapal“.

Król Assyryi leży na stosie, koło niego piękna Myrrha; otoczeni są naczyniami ze złota i srebra. Sardanapal rzuca ostatni wzrok na niewolników zabijających konie, na kobiety zadające sobie śmierć i czeka z uśmiechem godziny skonania! Było to przypomnienie dramatu Bayrona.

Krytyka rozkosznie ostrzyła sobie zęby nad tém dziełem, obrona już nawet i możliwą nie była. „Dante“, „Rzeź w Chios“, „Chrystus na górze Oliwnéj“, „Marino Faliero“, wszystko zapomniane przed tą nową zbrodnią.

Nie pozostawało już prawie artyście, jak zrobić stós ze swych obrazów, pędzli, ram i spalić się samemu!

Delacroix miał odwagę żyć! — Biedny Prometeusz! Krytyka przez lat pięć rozdzierała mu wnętrzności i toczyła serce.

Kto wtenczas śmiał przewidzieć, że za ośmnaście lat będzie wystawa, któréj arcydziełem „Sardanapal“!

Przez siedm lat obraz ten pozostał w pracowni malarza — nareszcie kupiony za 6000 franków.

Z hrabią Morny odbył Delacroix podróż do Maroku. Tu widział piękne konie, urocze krajobrazy, cudne stroje. Delacroix uwielbiał prawie konia. W swych obrazach nadawał mu namiętności pana.

Konie „paszy i giaura“ gryzą się podczas gdy pasza z giaurem walczą.

Winniśmy téj podróży kilka dobrych obrazów:

1) Wesele żydowskie.
2) Muzykanci arabscy.
3) Muley-Abder-Rhaman.

Jest jeszcze obraz malo dotąd znany: „Karol V. w klasztorze ś. Justyna“. — Powinienby raczéj nazywać się: „Znudzenie Karola V.“

Na żadnéj twarzy ślady tego Wampira zwanego znudzeniem, nie są wydatniejsze. Niebieskie oko Karola wpół zgasłe. Siedzi on przed klawikordem, na klawiszach ręka usnęła — widać że dawno ostatni ton zamarł. Koło niego młody zakonnik niewieściéj twarzy. U tego znudzenie dotąd tylko tęsknotą za czémś, co zostawił daleko. Oparty o klawikord, patrzy na Karola V., ale go nie widzi — patrzy gdzieś daléj, w kraje pamięci.

W roku 1860 Delacroix malował sufity paryskiego ratusza.

26go maja 1863 już cierpiący artysta, wyjechał na wieś. Spotkawszy znajomego w wagonie kolei żelaznéj, rozmawiał z nim nieco dłużéj i to go zmęczyło wielce. Zaledwie przyjechał do Champrosay, uczuł ogromne osłabienie, to trwało dni kilka. Powrócił do Paryża. Doktor Laguerre przepisał lekarstwo, po którém polepszyło się choremu. Ciągle powtarzał: „jeżeli wyzdrowieję, to czuję, że nadzwyczajne rzeczy utworzę“. Przy końcu lipca doktor Laguerre zażądał konsilium. Eugeniusz Delacroix każe zawołać swego notaryusza. Ten odpowiada, że jest zajętym i że dopiero za dwa dni przyjść może.

Chory nie tracąc chwili, pisze przez dwie godzin ostatnią wolę.


9go i 10go sierpnia jeden z członków instytutu przychodził pytać o stan choroby. Delacroix dowiedziawszy się o tém, smutnie rzekł: Mój Boże! nie dosyćże jeszcze obrażali, nudzili, dręczyli mnie ci ludzie, mój Boże! mój Boże!

12go sierpnia chory był prawie spokojnym, a 13go o siodméj godzinie rano skonał.

Pan Karol Blanc następnie opisał ostatnie chwile jednego z najpierwszych malarzy tego stulecia.

„Nieznaczny majątek jaki posiadał Eugeniusz Delacroix, podzielił między krewnych, przyjaciół i sługi testamentem pisanym dnia 3go sierpnia 1863, dziesięć dni przed śmiercią.

Nie zapomniał ani swych siostrzeńców panów Verminac, ani swego kuzyna Riezener, ani ulubionego ucznia Piotra Andrieu, ani dawnych kolegów Chenarard


Fig. 19.
Fig. 21.
Fig. 20.
Fig. 6.
Fig. 7.
Fig. 8.
Fig. 1.
Fig. 3.
Fig. 2.
Fig. 4.
Fig. 10.
Fig. 9.
Fig. 5.
Fig. 11.
Fig. 12.
Fig. 22.
Fig. 13.
Fig. 14.
Fig. 15.
Fig. 16.
Fig. 17.
Fig 18


Fig. 19.
Fig. 20.
Fig. 21.

i Pawła Huet. Wykonawcą ostatniéj woli mianował przyjaciela z dziecinnych lat pana Piron.

Prosił panów Pérignon. Danzats, Carrier, barona Schwiter, Andrieu, Duttileur, Burly, żeby się zajęli klasyfikowaniem i sprzedażą jego pozostałych dzieł.

200,000 franków i domek wiejski w Champrosay koło Paryża, to jest wszystko, co posiadał przy końcu życia swego, artysta olbrzymiéj sławy".

Domek w Champrosay Delacroix zapisał temu, którego ojciec udzielał mu pierwszéj nauki malarstwa, swemu kuzynowi Riezener.

W téj uroczystéj chwili pamiętał, że Thiers, dziennikarz, zachęcał pierwsze jego wystąpienia na polu sztuki, i że Thiers minister popierał go całą siłą. Zapisał mu w darze dwa prześliczne bronzy, godne figurować w jego zbiorze.

Oto ostatnie rozkazy z jego testamentu!

„Grób mój będzie na cmentarzu Père la Chaise, na wzgórzu w miejscu trochę oddaloném. Nie będzie na nim ani popiersia, ani posąga. Mój grób będzie kopią starożytnych grobowców podług Vignolle albo Palladio".

Po śmierci jak za życia, Delacroix chciał być na widoku.

Przez uszanowanie dla ostatniéj woli, przyjaciele wznoszą mu mausoleum, podobne do sarkofagu Scypiona-Barbatus.

Wyznać trzeba, że imie Eugeniusz Delacroix dziwnie wydawać się będzie na grobie Scypiona, gdyż wyobrażenie surowości greckiéj i godności rzymskiéj, którą przypomina ten grobowiec dorycki i rzeźbiony, ma, zdaje nam się, mało zbliżenia z myślami, jakie obudzi imie malarza, który był bohaterem romantyzmu, i którego całe życie było walką koloru przeciw rysunkowi, ciała przeciw marmurom.

Co się nas tyczy, nie taki pomnik wystawiamy w naszéj pamięci Eugeniuszowi Delacroix, temu geniuszowi jedynie czysto teraźniejszemu, pełnemu poezyi wyszłéj z chrześciaństwa i który w spokój starego świata przeniósł gorączkowe namiętności nowéj ery. Nie — nie — niech nie będzie zamkniętą w surową i zimną trumnę podług Virtruve, ta ognista dusza, która nam zaświeciła jak jasny meteor.

Niech idzie połączyć się z popiołami Bayrona nad Jońskiém morzem — albo z cieniem Shakespera w Eliseum pełném sylfów i gnomów, gdzie żyje „Sen letniéj nocy".

## OBRAZY I OBRAZKI
### z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

Przypadek usłużył mi w tym względzie lepiéj i prędzéj niż się spodziewałem. Minąwszy pierwszą część wąwozu, którą od jednéj skały mającéj złudne podobieństwo do puchacza siedzącego na ruinach baszty zamkowéj, sową nazwano — weszliśmy na zieloną polanę, ogrodzoną wałem z rzecznych kamieni. Polana podnosiła się w wdzięczny pagórek, na którym stał szałas opuszczony; od rozwartych drzwi szła biała ścieszka przez zieloną murawę ku rzece; za szałasem ciemny gaj świerków, za któremi wznosiły się spadziste ściany Upłazu. Panienka spojrzawszy na ten widok, uderzyła w rączki ucieszona, i odwracając główkę, zawołała:

— Ciociu, przypomina sobie ciocia do czego podobne to miejsce?

Ciocia przyłożyła lornetkę do oczów i szukała porównania.

— Do czego podobne? A cóż tam na wierzchu — obora? —

— Ależ to szałas, szałas — rzekła niecierpliwie panienka i poczęła recytować:

> Puste szałase patrzą w manowce,
> I białe ścieszki ku nam rzucają,
> I drzwi otwarły mówiąc: wracają
> Nasi juchasi i nasze owce.

— Czy przypomina sobie to ciocia?

— Gdzieś, gdzieś czytałam coś podobnego.

— Nie ciociu, to ja czytałam, a ciocia —

— Spała — dodałem w duszy.

— A tak, tak, słyszałam to już. To pięknie.

I nagle zwracając mowę do mnie, spytała:

— Pan znasz te wiersze?

Zarumieniłem się jak student.

— Znam.

— A może i ich autora?

— Znam go dobrze.

— Jaki pan szczęśliwy. Ja tak pragnęłam zawsze mieć bliską znajomość z poetą. Tylko poeta może zrozumieć serce kobiece, przeczuć, co tajemniczych uczuć mieści się w tych głębinach, uczuć niewypowiedzianych. Wy panowie prozaiści nie rozumiecie tego, nie silicie się nawet zrozumieć.

Jakkolwiek nie ciekawy byłem tego, co się mieściło w głębinach cioci, jednak próżność autorska przemogła, i chęć mię brała zdradzić moje *incognito*, choćby dla tego słomianego kapelusika i białéj beduiny.

— I nie wie pan — pytała daléj ciocia — gdzie on teraz przebywa?

— Może bardzo blisko — odrzekłem z uśmiechem pozwalającym się wszystkiego domyślać.

— Co pan mówisz — może między nami?

— A gdyby?

— Przez litość, powiedz pan który?

— Wolno się pani domyślać, zgadywać, mnie wypada koniecznie zachować sekret.

Ciocia spojrzała uważnie na moich kolegów, którzy właśnie zatrzymali się na pagórku i rzekła:

— Wystawiasz pan na próbę moją domyślność. Zobaczysz pan, że mam jéj wiele.

— Czy i ja mam stanąć na pagórku do przeglądu? — spytałem z uśmiechem.

— O! pana uwalniam. Pana nikt nie posądzi, żeś poetą.

Nie wiedziałem czy się gniewać, czy się śmiać za to zapoznanie mojéj poetyckiéj godności. Ciocia uważała za stosowne wytłomaczyć się.

— Poeci — rzekła — mają wyraz smętny, cierpiący, a u pana wieczny sarkazm i ironia. Założyłabym się — ciągnęła daléj, przykładając lornetkę do oczów — że się nie mylę — tak, ten blady brunet z długiemi włosami, to on

Z trudnością zdusiłem śmiech w sobie. Ten, którego domyślność cioci pasowała na poetę, mógł być o wszystko posądzony, tylko nie o poezją. Jedynym celem jego życia było — pięknie się nosić. Dla téj idei gotów był poświęcić wszystko, gotów był nie jeść Ksawerek obiadu, aby za oszczędzone w ten sposób pieniądze kupić ładny krawat, który potém z pół godziny wiązał przed lustrem, stojąc to bokiem, to frontem, nucąc przy tém offenbachowskie arje; gotów był pogodzić się z największym nieprzyjacielem swoim, byle ten nauczył go nowego sposobu wiązania krawata, nie było dlań większego zmartwienia, jak źle leżący surdut, zmarszczone buciki, lub nie dość krochmalne kołnierze. To były główne jego troski i zatrudnienia, za tém dopiero szły inne jak nauka, stosunki towarzyskie, różne uczucia itd. — Koledzy nazywali go lalą. — Ciągłe zajęcie się sobą, swoim ubiorem sprawiały, że Ksawerek ciągle był roztargniony, zamyślony; nieraz badawczo, poważnie wpatrywał się w kogoś, zdawało się, że wzrok jego gdzieś do głębi duszy zagląda, gdy tymczasem Ksawerek studjował tylko krój jego kamizelki i zadumę swoją kończył zapytaniem: przepraszam pana, który krawiec rabia panu suknie? — I w téj chwili zapatrzył się poważnie na kuzynka cioci i zadumał się nad pewną częścią jego ubrania. Ciocia wzięła tę zadumę za szyld poetyczności.

Cieszyłem się w duszy z téj pomyłki, rad byłem, że się zabawię jéj kosztem i pomszczę się przez to na cioci, która z takiém lekceważeniem zdarła z mojéj głowy poetyckie laury za to tylko, że nie mam długich włosów, że mam dobry apetyt, że się śmieję zamiast płakać. Powiecie może piękne Czytelniczki, że to nie ładnie mścić się — to prawda, ale niech słabość autorska usprawiedliwi.

Nie ma istot próżniejszych na świecie jak literaci i... cyt! powiedziałbym wam pianissimo: „i kobiety“, gdybym nie wiedział, że to pisemko właśnie dla nich przeznaczone. Byłoby to tyle, co odciąć sobie dobrowolnie kilkanaście prenumeratorek. Dziś czytająca publiczność czyśba tylko na powód, dla któregoby mogła nie trzymać téj lub owéj gazety — lada powód wystarcza, a cóż dopiero taki komplement. Zamilczę więc o kobietach, a cały zarzut próżności spędzę na literatów, bo ci pism nie prenumerują, a stalowe pióra krytyki kłują dziś więcéj papier niż autorów.

Obrażona więc próżność moja literacka skłoniła mnie do małéj mistyfikacyi.

— A co, czy zgadłam? — spytała ciocia tryumfująco.

— Nie potwierdzę, ani zaprzeczę, by nie zdradzić sekretu — odrzekłem.

— W oczach pana czytam, że się nie omyliłam. Pan go znasz dobrze. O! bądź pan łaskaw poznać mnie z nim.

Nie potrzebowała mnie o to dwa razy prosić, z radością wysunąłem moją rękę zpod fałdów jéj szala i pobiegłem do Ksawerego.

— Chódź — rzekłem, biorąc go pod rękę.

— Czekaj, czekaj, uważałeś ty jakie on ma kołnierzyki ten Warszawiak, całkiem odmiennego kroju od naszych; to muszą być najmodniejsze. Wiesz ty, żeby się go spytać o to.

— Późniéj, późniéj, późniéj — teraz przedstawię cię cioci, bo chce tego. Chodź.

— Jego cioci — ach to dobrze!

I pociągnąłem go za sobą, zaprowadziłem przed ciocię i bąknąłem niewyraźnie nazwisko — a na ucho dodałem wielbicielce poetów:

Niech pani nie wydaje się z tém, że wiesz kto on. Lubi *incognito* i dziwną mową maskować się przed ludźmi.

— Bardzo się cieszę z poznania pana — rzekła ciocia.

— To dziwna rzecz — odezwał się Ksawerek — bo i ja w téj chwili miałem chęć być pani przedstawiony — aby —

Ciocia oblała się ceglastym rumieńcem z radości.

— Aby się pani zapytać, czy to ostatnia moda w kroju tych kołnierzyków, które ma siostrzeniec pani.

To rzekłszy, spojrzał na nią najspokojniéj po głębokiéj naiwności swojéj czekając na odpowiedź.

Ciocia spojrzała na mnie, ja już nie wiedziałem na kogo patrzeć.

— Udaje takiego — szepnąłem cicho — a głośno dodałem — pani lubi gwoździki? —

— Passjami. —

— Przyniosę pani najpiękniejsze okazy białych i różowych gwoździków górskich, cudownie pachnących.

To rzekłszy, zostawiłem mego poetycznego zastępcę przy cioci, a sam wdrapałem się na pobliską skałę, bujnie ubraną w zieloność — towarzystwo poszło daléj,

a ja zostałem na słodkiém *rendez-vous* sam na sam z dziewiczą tatrzańską przyrodą.

Słońce złociło wysokie a strome ściany wąwozu, które ze swemi szczerbatemi krawędziami wydawały się dziwnie podobne do jakichś starych, olbrzymich zamków, które czas ponadgryzał i poprzekształcał. Odłamy ścian zasypały dno wąwozu skałami różnego kształtu i wielkości, na których bogata roślinność się rozsiadła, gdzie tylko odrobina ziemi i wilgoci się znalazła. Wśród wrzosów, mchów i dużych paproci kołyszą się liliowe kampanule, złote jaskry, zpomiędzy szczelin skał wychylają się rozchodniki, gwoździki, naparstnice. Gdzie większy odłam skały, tam strzępiaste świerki tworzą cieniste altany, naśladujące swemi iglicowemi wierzchołkami koronki gotyckich wieżyc.

Pod takim namiotem świerków spocząłem na chwilę na zielonem posłaniu borowiny — i zamarzyłem sobie. O czém? Sam nie wiem. Kiedy jestem sam na sam z przyrodą, w dziwne wpadam usposobienie; po głowie plącze się dużo bezładnych myśli, ale tym myślom brak słów; jest to coś podobnego do myśli muzyka, które ubierają się w jego głowie w tony; u mnie nie jest to ani ton, ani słowo, szata moich myśli jeszcze więcéj eteryczna, nie pochwycona pamięcią: określić ją trudno, ale czuję je po tém rozkosznem zadowolnieniu, jakie mnie wtedy ogarnia. Zdaje mi się wtedy, że żyję życiem kwiatu.

Leżałem tuż na krawędzi odłamu, pod którym u spodu w ciemnem otoczeniu świerków szumiał Dunajec. Po dużych omszonych głazach wzdymały się jego wody jak klosze szkła zielonego, potém spadały między szczeliny kamieni, rozpryskując się w białą, śnieżystą pianę. Wstęga światła przedzierając się przez świerki, oświecała spodem czerwonawe pnie drzew i rzekę. Za rzeką i za jarem świerkowym wrzynał się w góry ciemnym załomem boczny wąwóz, który od grupy skał, mających podobieństwo do bramy Floryańskiéj, starych murów i baszt, nazwano Krakowem. Ten wąwóz pozbawił mnie cichych, sennych marzeń kwiatu i przyniósł inne marzenia z twarzami ludzkiemi — przypomniał mi się jakiś pałacyk, jakiś duży ogród, pełen starych, rozłożystych drzew, które mu nadawały wyraz ponury, dziki; wiatr jesienny szamotał drzewami, zrywał z nich pożółkłe liście i rzucał je na staw ciemno-zielony, na środku którego wznosiła się wysepka; u brzegu wysepki kołysała się łódka — gałęzie drzew rosnących na wyspie poplątane ze sobą w konwulsyjnych uściskach, wygięte i powykręcane, zdawały się podobne do zczerniałych rąk załamanych z rozpaczy, a uschłe liście jak łzy z drzew spadały — na włosy jednéj młodéj kobiety z długiemi lokami, która siedząc schylona na kamiennéj ławeczce, pisała parasolką po piasku „nigdy“.

Przeląkłem się tego strasznego słowa, zerwałem się i uciekłem przed niém do towarzystwa, które się zatrzymało koło źródeł czarnego Dunajca i skały Pisanéj. Jest to skała, na któréj ludzie bojący się o swoją nieśmiertelność, skwapliwie ryją swoje nazwiska głębiéj lub płyciéj w miarę namiętnego przywiązania do nieśmiertelności. A że skała nie zbyt duża, więc każdy, by siebie umieścić, spycha dawniejszych, zaciera ich ślady.

Czy na téj tablicy skalistéj nie powtarza się w miniaturze to, co na świecie dziać się zwykło?

Ciocia namawiała gwałtem mniemanego poetę, by się uwiecznił na skale. Ksawerek nie miałby nic przeciw temu, gdyby nie jego nieszczęśliwe nazwisko, które pomimo, że je wymawiał i pisał z francuska i z niemiecka, zawsze śmiesznie brzmiało, Ksawerek wstydził się swego nazwiska i martwił się niém jak źle uszytym surdutem. Dlatego i teraz wzbraniał się podpisać, co ciocię jeszcze bardziéj utwierdziło w domyśle. — Przyjmując odemnie gwoździki, zwróciła się do Ksawerka, którego ciągle swą rozmową w oblężeniu trzymała i spytała wdzięcznie:

— Pan lubi gwoździki?

Ksawerek, który w téj chwili zapatrzył się na swoje buciki, uszkodzone nieco na ostrych kamieniach, ocknął się z zadumy i odrzekł:

— Nie.

— To za prozaiczny kwiat dla pana, wy panowie wolicie różę, ten kwiat poezyi.

— Pan pewnie musisz lubić różę?

— Tak, ale wolę olejek różany, bo dłużéj trzyma zapach.

— Ach, jak udaje — szepnęła do mnie ciocia.

Unikając odpowiedzi, zwróciłem się do młodéj siostrzenicy i podałem jéj gwoździki. Podziękowała mi wdzięcznem skinieniem główki i rzekła:

— Schowam je sobie na pamiątkę tego strasznego wąwozu.

— Gwoździkiem przybijesz je sobie pani w pamięci?

Zarumieniła się i wahała co powiedzieć, po chwili rzekła:

— A pan, nie lubisz pamiątek?

— W pani wieku lubiłem. Gdybym dotąd trwał w tém zamiłowaniu, musiałbym kufry nosić za sobą. Kiedym pierwszy raz zwiedzał te strony, każdy kamyk, który nie był podobny do kamieni na gościeńcu leżących, brałem ze sobą; ale bo téż wtedy nie ciężyło mi nic w życiu, prócz kamieni.

— Dobrze, że pan nie możesz teraz widzieć mojéj kieszeni, bobyś się śmiał ze mnie.

— Więc i pani przechodzisz przez tę gorączkę mineralogiczną? Mogę pani gabinet zbogacić jeszcze dwoma, mam je w domu. Jeden z nich pachnący; musiałaś pani słyszeć o tych kamieniach pachnących wonią fiol-

ków i malin? Lubię je, bo mi się zdaje, że na nich pokutują niewidzialne duchy kwiatów. — A drugi kamień dostałem z Ludźmierza, zawiera on na tle czerwonawém skamieniałości świata przedpotowego. Ta droga była niegdyś podwodnym korytarzem morskich głębin, a tu, gdzie teraz pani stoisz pochylona nad kwiatkiem, kto wie jakie potwory morskie się rozbijały.

(Ciąg d. n.)

## Wystawa powszechna.

### VI.

Potężne rzeczypospolite włoskie byłyby na podobnéj wystawie w średnich wiekach zajmowały naczelne miejsce. Dzisiaj przemysł zjednoczonych W ł o c h nosi na sobie jeszcze ślady epoki przejścia i d o r o b k u po wiekowém przygnębieniu. Wenecja sławna niegdyś ze szkieł i zwierciadeł, radaby zachować tę sławę, ale ani kształt, ani gatunek tych wyrobów w niczém nie postąpił. W mozajkach, w kolorowanych fajansach są usiłowania ku odrodzeniu. Wyborne za to są włoskie meble zbytkowe, wykonane z gustem artystycznym i fantazją więcéj budowniczą jak snycerską; pełno bowiem w ozdobach jest kolumnad, frontonów.... zresztą bogactwo inkrustacyj z marmurów i kości słoniowéj. Powszechną uwagę zwraca stół okrągły, stojący na chimerach i sfinksach złoconych. Płyta stołowa jest mozajką wyłącznie drewnianą ułożoną: z włoskiéj iglicy, pomarańczy, hebanu, w figury i liście. Nie ma tu surowéj gry przeciwnych kolorów, owszem wszystkie barwy zlewają się w jeden ton tak, że mozajka raczéj malowidłem się wydaje. Co do umiejętności ścisłych, najcenniejszy jest przyrząd geocykliczny, który przedstawia trzy równoczesne ruchy słońca ziemi i księżyca. Przyrząd ten używany w szkołach, ułatwiłby wielce całą naukę kosmografii.

A n g i e l s k a wystawa współzawodniczy z francuzką, co do doskonałości i obfitości wyrobów. Robotnicy lepiéj płatni, a wyroby tańsze, oto wyższość Angli, która najdalsze targi produktami swemi zasila. Komuż nie znane kopalniane bogactwa Anglii? stal, igły metalowe, przyrządy domowe, piece, kuchnie angielskie, oszczędne, szklące, powabne, które okazują przeważne zamiłowanie do życia domowego. Komfort panuje tam we wszystkiém zarówno wewnątrz domu, jak i na zewnątrz; przedmioty do podróży: torby, kufereczki są to wzory wygody i przezorności. Do szczególności należą tutaj: wielki kocioł platynowy, z jednéj sztuki wartości do 70,000 fr. i kolja z djamentów australskich; sukna, koronki, muszliny, giupiury angielskie, przedstawiają wielką rozmaitość — nie dorównują jednak francuzkim; wyroby sztuki złotniczéj np.: apotheoza Szekspira wpośród postaci jego utworów, i łabędź srebrny, który się kąpie w falach srebra, nurkuje i wyciąga w dziubie rybki z klejnotów.

Meble angielskie odznaczają się pojedynczością, a elegancją — fajanse lepsze od porcelany. Niezmiernie bogate są ilustrowane wydania arcydzieł. Trudno nie zazdrościć krajowi, gdzie przedmiotem zbytkowych wydatków są książki — a gdzie książki o 400 stronach po 10 centymów i najuboższy nabywać może.

Na wystawie a m e r y k a ń s k i é j nie znać wcale okropnéj, ledwie zakończonéj wojny. Praca, przemysł nie doznały przerwy. Kopalnie i maszyny oto główne rzeczy. Fortepiana ich mają tę główną zaletę, że nie ulegają wpływom powietrza. Niezliczone są okazy nowych broni, między têm armata rewolwerowa; planisfera, jeszcze sztuczniejsza jak włoska, gdyż obejmuje i ruchy kilku gwiazd. Nadesłała również Ameryka niesłychane bogactwo produktów ziemi: drzewa farbierskiego itd. Żeby jednak ocenić prawdziwie wartość téj zaatlantyckiéj cywilizacyi, dosyć przypatrzyć się c i e m n y m, których do sal amerykańskich prowadzą: bo oto są tam porozkładane biblje, encyklopedje, w ogóle najpotrzebniejsze księgi, drukowane czcionkami sterczącemi — *en relief* — dla użytku c i e m n y c h.

Pozostają jeszcze kraje wschodnie. — Galerje przeznaczone dla nich, poznać od razu. Wzrok nasz przyzwyczajony do jednostajności — olśniewają tu kolory żywe, krzyczące, które biją się ze sobą w pozornym bezładzie — a który jednak jest umiejętny i wyszukany. Przemysł na wschodzie nie ma jeszcze nic mechanicznego; matematyczna regularność maszyn nie zabiła jeszcze fantazyi osobistéj, i dla tego każdy wyrób tamtejszy nosi na sobie jeszcze piętno robotnika. Szale, ubiory, bogato lamowane rzędy na konia, atagany, wazy, naczynia do kawy, dziwaczne instrumenta muzyczne, oto co w tureckiéj wystawie jest osobliwe; najważniejszym zaś wyrobem są dywany. Z Marokku piękny jest zbiór wypchanych ptaków i okazy kaligrafii uczniów szkoły żydowskiéj w Tanger. W następnych salach zwracają uwagę dywany perskie i porcelana chińska. Pomiędzy książkami chińskiemi jest romans, pod tytułem: „Żona doskonała“. Królestwo syjamskie nadesłało ohydne maski, przeznaczone do straszenia nieprzyjaciela podczas wojny. Olśniewające są sale indyjskie; w tym kraju słońca i kast arystokratycznych wszystko — przynajmniéj wszystko, co tu widać — jest złotem, jedwabiem, aksamitem, ciężkie materje, gazy złote i srebrne, wazy z Golkondy, bizuterje, wszystko to ma jakiś obcy nam charakter i piętno niesłychanéj cierpliwości.

Otośmy przeszli wszystkie galerje. Najwięcéj rozgłosu robiono grupie X., mającéj obejmować przedmioty, służące ku fizycznemu i moralnemu udoskonaleniu klas robotniczych. Wchodzą w nią wszelkie środki i sposoby oświaty, żywność, i to wszystko, cokolwiek

służy do dobrobytu, a jest dostępne dla wszystkich: i tak wygodne a tanie mieszkania (miasta robotnicze), wszelkie odnośne instytucje i stowarzyszenia dla klas roboczych itd. Miał to być niejako generalny inwentarz środków, jakie każdy naród posiada, ku podniesieniu ogólnéj pomyślności i rozszerzania dobrodziejstw postępu. Przedmioty jednak należące tutaj są tak rozrzucone, że nawet z katalogiem niepodobna ich odszukać. Od przypadku natrafia się: to na ubiory tanie, to znów na zbiór statutów stowarzyszeń, albo pożywienia zdrowe a tanie, jak czokolada, pasztety włoskie, przyrządy kuchenne i opałowe, lub tanie wydawnictwa; wszystko to jednak nie odpowiada szumnemu tytułowi téj grupy. Należy jednak zawsze oddać hołd szlachetnéj myśli, która tu przewodniczyła; zresztą z przedmiotami téj grupy, spotkamy się jeszcze w parku.

(Ciąg d. nast.)

---

**TEATR.** Jedynemi prawie nowościami scenicznemi są komedjo. Sardou, Augier, Dumas zarzucają niemi wszystkie teatra europejskie i to z ogromnem powodzeniem; podczas gdy dramata czasem tylko tu i owdzie zjawiają się jak rzadkie meteory i gasną. Z wybitniejszych ledwie parę utworów Ponsarda i Halma wyliczyć tutaj możemy. Przyczyna tego leży w trzeźwości naszego wieku, który zapał, poświęcenie, fanatyzm polityczny i religijny, te wielkie motywa dramatyczne, identyfikuje z szaleństwem, dziwactwem i z ironicznym uśmiechem im się przypatruje; uczucia i namiętności swoje, nawet szlachetne, kryje starannie pod konwencjonalne formy, wstydzi się ich i tai się z niemi, a niesklonny do uniesień, do gwałtownych porywów, chłodno i krytycznie patrzy na wszystko. W takiéj atmosferze dramat uschnąć musiał i ustąpić miejsca komedyi. Usiłowania niektórych naszych autorów na polu dramatu ograniczyły się na przerabianiu starych motywów, na pięknéj deklamacyi, któréj ludzie nieusposobieni do ziewania, jakiś czas z przyjemnością słychać mogli; ale która zgoła nie zajęła, nie będąc posiłkowana żywą akcją. Jeżeli trudno dzisiaj o prawdziwie religijny obraz, to również trudno o dramat; sztuczne i wymuszone natchnienie go nie stworzy.

Ale komedja nowoczesna rozwinąwszy się kosztem dramatu, poważniejsze zakreśliła sobie cele. Przestała być fantastycznym kaprysem jak u Shakespeare'a, nie ogranicza się na lekkiém wyśmiewaniu wad jak u Moliera, ale stawia je pod pręgierz szyderstwa i smaga ostrém piórem Juwenala, nie wacha się zdzierać nieraz zasłony, jakiemi przyzwoitość otuliła wady, by prawdę nago pokazać, a wśród dowcipkowań, żartów, rozwięzuje nieraz najpoważniejsze, najgłębsze kwestje społeczne.

Do takich należy komedja Dumasa syna: „Pojęcia pani Aubray“ (Les idees de madame Aubray), którą przedstawiano dwukrotnie w zeszłym tygodniu na tutejszéj scenie. Autor dotyka w niéj jednę z najdrażliwszych kwestyj, kwestję upadłéj kobiety i rozwięzuje ją ze stanowiska chrześcianizmu. Pani Aubray jest to kobieta zacna, żyjąca a raczéj usiłująca żyć według zasad ewangielii. Ale zasady jéj aczkolwiek zastosowywane w społeczeństwie mieniącém się chrześciańskiém — stają co chwila w sprzeczności ze stosunkami towarzyskiemi, z wymaganiami światowemi. — Sprzeczność ta jest najlepszém świadectwem pogańskości dzisiejszego świata. — Pani Aubray chce być apostołką tego zapoznanego chrześcianizmu i pragnie czynem stwierdzić swoje zasady. — Nie długo potrzebuje czekać na sposobność. U wód poznaje młodą kobietę z dziecięciem, kobietę „prześlicznego rysunku“, jak powiada jeden z dandysów p. Valmoreaux, sympatycznéj i ujmującéj powierzchowności. Ale wnet z przerażeniem dowiaduje się z ust téjże kobiety, że jest niegodną przyjaźni, jaką ją zaszczyca. Janina jest moralnie upadłą kobietą, na obronę swego błędu nie może przytoczyć nawet miłości, bo nie kochała tego, któremu się oddała. Zrobiła to jedynie z biedy, dla zabezpieczenia swego losu, nie wiedząc, że źle robi, nie czując swéj hańby. Zacna dusza pani Aubray wzdryga się, słuchając téj spowiedzi, i cofa podaną dłoń; ale dowiaduje się daléj, że Janina kocha jakiegoś młodego człowieka, że ta miłość zdolna jest podnieść ją i uszlachetnić i nawrócić na drogę dobrą; ewangielia szepta pani Aubray do ucha o pokutnicy Magdalenie i pani Aubray w myśl chrześcianizmu przebacza Janinie, nakłania ją do pracy i poprawy, i zaszczyca ją swoją przyjaźnią. Co więcéj: namawia p. Valmoreau, o którym sądziła, że jest przedmiotem miłości Janiny, aby się z nią żenił; namawia go z zapałem i gorliwie, popierając namowy swoje cytatami z Pisma Świętego. Tymczasem naraz dowiaduje się, że owym kochanym i zarazem kochającym — jest własny jéj syn. Tutaj pani Aubray zapomina zupełnie na zasady, które przed chwilą głosiła i synowi stanowczo tego związku zabrania. „Nie jestem więc chrześcianką“, mówi zawstydzona, „bo nie mogę się zdobyć na to“.

Na tych słowach zdaje nam się byłoby najwłaściwsze zakończenie komedyi, pokazałoby ono jaskrawo jak świat dzisiejszy odbiegł od nauki i tradycyj chrześciańskich, jak mu trudno wrócić do nich napowrót. — Autor nie miał odwagi skończyć na tém, chciał bądź co bądź małżeństwem rzecz zakończyć; użył więc do tego dość często w powieściach powtarzanego sposobu, tj. że Janina chcąc usłużyć matce swego kochanka, oskarża się przed nim o rozpustę i różne grzechy, których nie popełniła. Takie poświęcenie rozumie się rozbija i zwycięża upór matki. Jakkolwiek ta ostatnia scena przez znakomitą grę p. Modrzejowskiéj i Hoffman ogromny sprawia efekt, niemniéj jednak zaciemnia główną myśl komedyi, a ostatnie słowa p. Barantin, który oddając słuszność postępkowi p. Aubray, mowi: że „ona pierwszą i ostatnią zostanie na téj drodze“, do reszty obałamucają słuchacza i nie odsłaniają nam ostatecznie jasno zdania autora i jego osobistych zapatrywań. Cała komedja ma dominującą myśl, że łatwo jest głosić zasady, których sami wykonywać nie jesteśmy zmuszeni; a zakończenie modyfikuje tę myśl w ten sposób: że znalazła się przecież jedna osoba, która postąpiła sobie inaczéj niż wszyscy, że to co zrobiła, jest bardzo ładne, ale że nikt jéj w tém naśladować nie będzie. — A niejeden z widzów wracający do domu, jest w obawie, czy p. Aubray ochłonąwszy z wrażenia, jakie na nią ofiara Janiny zrobiła, nie będzie żałować swego poświęcenia.

Pomimo tego zakończenia, w którém autor wyraźnie wstydził się oświadczyć się za tą lub ową stroną, pomimo braku akcyi, która szczególniéj w drugim akcie mocno czuć się daje — komedja ta ma niepospolite zalety, znać w niéj kocie pazury autora, nawet w takich drobiazgach, jak np. w owéj scenie, gdy dziecko Janiny przychodząc do siebie z omdlenia, słowami „papa, mama“, sprowadza wyznanie kochanków. Siłę w téj komedyi stanowią myśli i djalogi, djalogi przecudne, zajmujące nawet w ustępach moralizujących. — Jakie to różne od niektórych komedyj Korzeniowskiego, w których morały w ciężkich juchtowych butach występują.

Takie jest zdanie nasze o téj komedyi, uważając ją bezwzględnie. Inna jednak rzecz, jeżeli się spytamy, czy ona odpowiada potrzebom i stosunkom naszéj społeczności? — Odpowiemy: tak i nie. Odpowiada o tyle, że i u nas tysiącami naliczyłbyś ludzi, których zasady rozmijają się z ich życiem, a jednak, ze względu na niektóre kwestje tyczące się upadłéj kobiety, nie każdy ojciec chciałby poprowadzić córkę na podobną komedją, nie tyle może z obawy, by za wiele nie usłyszała, bo w domu, w towarzystwie, w potocznéj rozmowie nieraz słyszy się o tych rzeczach — ile z obawy ciekawych oczów parteru i krzeseł, które wlepione nie-

dyskretnie w twarz panienki, radeby z niéj wyczytać o ile te kwestje rozumie lub nie. — Z tego powodu komedja ta wielu osobom nie przypadła do smaku — i kiedy dnia następnego powtarzano ją, teatr w skutek tego był — przepełniony.

O ile sztuka sama nie odpowiadała oczekiwaniom niektórych, o tyle gra artystów wszystkich bezwzględnie zadowolnić musiała.

Sprawozdanie nasze o téj grze, musimy jednak poprzedzić kilkoma słowami:

W uwagach naszych nad grą nie będziemy się ograniczali tylko na samych ogólnikach, owszem, oceniając całość przedstawionego charakteru, wytkniemy zarazem szczegółowe wady artysty w ruchach, w głosie itd., bo zdaje nam się, że jedynie taki rodzaj krytyki na coś przydać się może. Idzie tylko o to, abyśmy nie byli fałszywie zrozumiani, aby gorliwość naszą nie wzięto za jakąś osobistą niechęć lub uprzedzenie. Cieszy nas nie mało, że scena krakowska stanęła teraz tak świetnie, i chlubimy się tém, że ta scena mając przed paru latami cechę czysto prowincjonalną, dziś nie powstydzi się współzawodniczyć ze stólecznemi teatrami; ale właśnie dlatego krytyka obowiązana jest z tém większą starannością wyszukiwać nawet drobne wady w grze aktorów, by nie psuły piękńéj całości. Grono naszych artystów złożone jest przeważnie z ludzi młodych, uważać ich więc za skończone doskonałości byłoby tyle, co dać o nich wyrok, że już nie pójdą daléj. Cóż może być dla piszącego łatwiejszego, jak grzecznemi, oklepanemi frazesami kadzić próżności i zbywać grę artystów takiemi ogólnikami jak np: „p. H. wywiązała się bardzo dobrze“ — „p. M. odpowiedziała oczekiwaniom“ — „a p. Ł. zyskał sobie zasłużone oklaski“ —? Ale czy taka krytyka nauczy czego, a nawet czy takie grzeczności powtarzane na zimno mogą zadowolnić artystę pracującego prawdziwie. Krytyka nie kadzić ale radzić powinna. Nie idzie zatém, aby zdanie krytyka było nieomylne. Zdania są różne, a pojęcia estetyczne nie dadzą się ubrać w drewniane kaftany, wraz z ludźmi starzeją się i odmładzają. Krytyka winna być głównie sumienną, a artysta może ją przyjąć lub nie, ale nigdy lekceważyć. Ileż to razy drażliwość artysty poważne dzienniki chrzci mianem nędznego pisemka, a piszący nazwany bazgraczem dotąd, dopóki nie uzna wielkości artysty. Gdzie taki istnieje stosunek, tam krytyka nie potrzebna wcale, a artysta nie wyjdzie z koła mierności.

Po tych kilku słowach, które mi się zdawały konieczne dla wzajemnego porozumienia, wracam do przerwanego wątku. Mówiliśmy o grze artystów, która nie tylko oklaski, ale i szmer uwielbienia wywoływała w niektórych scenach między publicznością. — Pani Hofman (pani Aubray) i p. Rapacki (Barantin), mieli na pozór podobne charaktery do oddania: w obydwóch przeważał spokój; tylko u p. Aubray ten spokój był wypływem religii, cnotliwego życia i wewnętrznego zadowolnienia, a u Barantina był raczéj obojętnością, zastygnięciem. Ona chrześcianka, on w części pozytywista. Gra doskonale uwydatniała tę różnicę. Pani Hofman pięknie utrzymała do końca dobrotliwy i poważny uśmiech w twarzy, i ten łagodny, spokojny ton zacnéj kobiety; a chwila w akcie II., w któréj zamyślona wraca do domu — następnie rozmowa z synem, w IV akcie i w końcu zerwanie się z kanapy ze słowami: „ona skłamała“ — należą do najpiękniejszych ustępów jéj gry.

W roli p. Modrzejowskiéj było kilka miejsc, które porywały; nic o nich jednak nie chcę teraz mówić; ale o téj scenie spotkania się z p. Aubray w akcie pierwszym. Jakiemiż delikatnemi odcieniami umiała artystka uwydatnić nieśmiałość i zakłopotanie kobiety upadłéj, wobec cnotliwéj i zacnéj. Chwila, gdy klęcząc obok dziecka z zapłonioną twarzą przyjmuje wyznanie Kamila, jako też ostatnia scena aktu IV., były znakomite. Zrobiłbym jednak uwagę, że na powtórnem przedstawieniu w ostatniéj scenie p. M. zanadto daje poznać Kamilowi walkę wewnętrzną, jaką przechodzi, zdobywając się na oskarżenie samej siebie. Rozumie się, że niepodobieństwo kobiecie ze spokojem czynić wyznanie, zabijające jéj całe wymarzone szczęście, ale to szamotanie się duszy nie powinno się tak uwydatniać, bo wtedy słowa p. Aubray: „Ona skłamała“, byłyby wcale nie potrzebne, gdyż Kamil mógłby je prz czytać na twarzy Janiny.

Naiwną Lucynkę odegrała panna Bauman tak miluchno, że trudno się było wstrzymać od przyklaśnięcia temu wdzięcznemu szczebiotaniu paniątka, które nam opowiada o swojéj miłości do Gila, ojca i Kamilka. Nie zwyczajne to zjawisko spotkać się na scenie z naiwnością nie udaną. — Scena, w któréj Lucynka dowiaduje się, że Kamil kocha inną, i odchodzi, ocierając skrycie łezki — a odchodząc mówi do niego: chcesz z matką o tém mówić? dobrze, to może ojca zabrać mam ze sobą? — ta scena wróży pomyślnie o przyszłym talencie młodziutkiéj artystki.

Pan Ładnowski grał Kamila. W scenach z Lucynką był wyborny. Tam, gdzie idzie o uczucie, energią nie brak mu na nich, wyraża je głosem dźwięcznym, z poczuciem artystyczném; ale zarzucić mu musimy, że dając się zanadto porwać tym uczuciom, nie zawsze jest panem ruchów swoich, ztąd jedne są steryotypowe, a drugie nie dość estetyczne. Nie zawsze wstrząsanie głową i rozburzona fryzura są oznaką rozpaczy, najmniéj może to uchodzić w rolach salonowych; również wypadałoby mu się strzedz w chwilach determinacyi nieestetycznego przeginania się. — W rozmowie z matką w akcie IV. p. Ł. grał z wielkiém przejęciem i siłą, tylko boleść, która tak wybitnie malowała się w głosie, na twarzy miała mniéj szczęśliwy wyraz. Było to raczéj skrzywienie się po wypiciu czegoś przykrego. Takie rzeczy należałoby pilnie wystudjować przy zwierciedle; przytaczamy je tu dla tego, że często się powtarzają. Scena przy fortepianie z mniejszém przechyleniem głowy i odrobiną męzkości zyskałaby wiele.

Pozostaje nam jeszcze do ocenienia gra p. Bendy (Valmoreau). Jest to rola nadzwyczaj wdzięczna i odpowiednia ta entowi p. Bendy. Valmoreau to młody człowiek, którego natura we wszystko uposażyła, ale najmniéj w rozum. Jest bogaty, przystojny, młody, ma nawet dobre skłonności, ale skrzywione wychowanie zrobiło go motylem, goniącym za rozkoszami i miłostkami. Jest on w komedyi przeciwstawieniem do platonicznej, idealnéj miłości Kamila. Obaj są ekstremami, prawda leży w pośrodku między nimi, jak powiada Barantin. Wpływ pani Aubray budzi dobre skłoności w Valmoreau; ale w chwili, gdy ona od swych zasad odstępować zaczyna, nawrócony w połowie Valmoreau, jest dla niéj gorżką ironią i wyrzutem. — Dumas w téj postaci streścił najwięcéj żywiołu komicznego, którego też pan Benda nie zmarnował. Nie szkodziłoby może p. Valmoreau dać więcéj ruchliwości i oglady salonowéj, wszak to wychowaniec salonów i Paryża. — Wśród dość poważnego nastroju całéj komedyi, wśród moralnych cytat, zjawienie się Volmoreau na scenie, było orzeźwiającém; gra artysty nie mało się do tego przyczyniała. W ogóle trzeba przyznać, że p. B. wiele pracuje nad sobą i w ostatnich czasach znacznie postąpił, czego chlubny dowód złożył w roli Bolinbrocka, którą grał jak się wyrażano „nadspodziewanie“. *m.*—

---

**Koncerta p. F. Guniewicza.** Szczytem kompozycyi muzycznéj jest *oratorium.* Muzyka sama jedna bez pomocy akcyi dramatycznéj, bez pomocy uzmysławiającéj sztuki dekoracyjnéj, ma przedstawić cały poemat myśli i uczuć bądź to ogólnie ludzkich, bądź też na tle pewnego czasu, narodu i miejscowości, jak np. św. Elżbieta — Liszta, Walpurgisnacht — Gounoda, albo Widma — Moniuszki. W operze całość, wypowiedziana ogólnikowo w uwerturze, rozwija się następnie w pojedyńczych aktach, jednak mimo to, że główny ton i charakter muzyki musi być ciągle zachowany, pewne partje, zwłaszcza wokalne, można uważać zosobna, można coś włożyć lub ująć bez nadwerężenia całości. Inaczéj w oratorium. I tutaj całość rozwija się z uwertury pojedyńczemi ustępami — ale jedność

i ciągłość głównego tonu i charakteru nie może doznać żadnej przerwy; całość jednolita rozwijać się winna organicznie, z jednego odlewu — epizody nie są tutaj dozwolone.

Aby sprostać takim zdaniom, aby muzykę zrobić plastyczną, a jedność rozmaitą i bogatą, potrzeba na to niesłychanej nauki i potężnego talentu — aby zaś pojąć takie dzieło, potrzeba z drugiéj strony odpowiednio wykształconej publiczności. Opera będzie się podobać wszędzie i zadowalniać, a jedną z głównych przyczyn tego jest może i ta, że nie wywołuje tak jak oratorium niepokoju w umyśle ogółu słuchaczów, nie mogących sobie zdać sprawy z utworu słyszanego.

U nas wykształcenie muzyczne jest bardzo rzadkie, a i to powierzchowne. Nie można się więc dziwić, jeżeli produkcja obszerna i trudna odbywa się u nas nieraz przed pustemi ławkami, tak, jak to było na koncertach Guniewicza.

Być przymuszonym uważać i zastanawiać się, i to gdzie, w teatrze — gdzie nie dawno można się było uśmiać z panną Patti, albo zachwycająco ubawić figlami niewinnegy Epsteina — do tego przecież nikt nie jest obowiązany. Jeszcze Moniuszko — to prędzéj, imię już rozgłośne, mogące być wymówione i w salonie, to już wypada protegować go (bo tego nie potrzebuje), i obecnością na koncercie nadać sobie minę znawcy. Ale jakiś pan G., chwalony przez dzienniki lwowskie — czyliż to potrzeba dla publiczności lożowéj innego powodu jeszcze, żeby nieobecnością błyszczeć.

Że jednak ciekawość widzenia i słyszenia amatorek, Krakowianek, nie podziałała tym razem na właściwą krakowską publiczność — jest to wypadek niezwyczajny w naszém miasteczku. Trudna rada; nie chcemy też prawić publiczności morałów o obojętności i t. p. i tylko dla przyszłych koncertantów zapisujemy ostrzeżenie: „nie liczcie na upodobanie w muzyce, ale na reklamę — nie piszcie się ze Lwowa, ale zkądkolwiek zza morza — nie liczcie na usposobienie serjo, ale na rozciekawienie, dla zwabienia podwójcie ceny biletów — a staniecie się bohaterami dnia“.

Ci niewielu, którzy mieli odwagę słuchać utworu p. Guniewicza, poznali w nim jednego z znaczniejszych kompozytorów polskich: „Niewola Babilońska“ zasługuje na nazwę oratorium — i jakiekolwiek wady znalezionoby w kompozycyi, zdaniu temu jednak żaden znawca nie zaprzeczy. Uwertura pełna jest pięknych motywów i wybornie instrumentowana. Zauważano tylko, że pod koniec introdukcyi orkiestrowy „Orgelpunkt“ zadługo jest trzymany. Nr. 2. „Modlitwa“ z nadzieją wyswobodzenia z niewoli — ma religijny, a przy tém wschodni charakter. Nr. 3. „Sieroty Judei“ — duet na dwa soprany (a nie na kontralt jak mylnie „Czas“ podał), wykonany był przez amatorki z wielkiém przejęciem się. Muzyka pomimo swojéj wspaniałości, nie przeszkadza wcale melodyi wypływać na wierzch. Nr. 4. „Chór kapłanów“ odznacza się powagą, siłą i wywiera wielkie wrażenie. Nr. 5. „Pochód“ z popiołami przodków — jest może najtrudniejszy do zrozumienia, a potrzebuje koniecznie większéj obsady i lepszéj egzekucyi — co już nie od kompozytora zależy. Ukoronowaniem dzieła jest Nr. 6. „Judzka kraina“ — wszystkie środki kompozycyi są tu użyte z wielką znajomością, szczególnie finał jest oryginalnym.

Cały utwór, mający za podstawę tekst poważny i tło tak pokrewne naszym losom, odznacza się świeżością melodyj i zręcznym doborem instrumentów, które przy towarzyszeniu motywom odpowiadają zupełnie sytuacyi w librecie opiewanéj. Niemniéj umiejętnie zachowaną jest równowaga między stroną wokalną a instrumentalną. Zauważymy tylko, że tu i owdzie autor za długo jeden motyw rozprowadza, przez co prąd muzyki zdaje się zatrzymywać i słabnąć. — Ogólne wrażenie dzieła jest potężne. Słuchacz jest przejęty do głębi i z natężoną uwagą śledzi rozwoju tego poematu męki, skarg, nadziei i triumfu. Utwór ten wykonany w Pradze lub Dreznie, zająłby cały wykształcony świat — u nas przyniósł autorowi stratę czasu, pracy (na uczenie amatorów) i pieniędzy. Stara to prawda, że nikt w ojczyznie nie jest prorokiem.

Dodamy w końcu uwagę, że z małéj liczby amatorek biorących udział w koncercie, niktby się nie domyślił, że istnieje w Krakowie szkoła sztuk pięknych. Wszakże, jeżeli kiedy, to w takich razach jest sposobność doświadczenia sił i zdolności wokalnych — a publiczność ma też i niejakie prawo żądania, aby szkoła jakie takie oznaki życia i rozwoju dawała.

---

— **Oświata ludu** jest najważniejszym działem pracy narodowéj i społecznéj w każdym kraju, a tém więcéj w naszym. Ona jedna może lud nasz dźwignąć z dzisiejszéj jego ciemnoty na stanowisko obywatelskie, przyczyniając się przeważnie do poprawienia jego moralnego i materjalnego bytu. Ona tylko zdoła uśmierzyć nieufność ludu do klas wykształconych, i połączyć oddzielnie stojące warstwy narodu w jedną całość. Jak błogie skutki sprowadziła oświata ludu w Wielkopolsce, znaném jest powszechnie, a zapał, z jakim tam przystępują dzisiaj do krzewienia jéj coraz szerszego, powinien być przykładem dla wszystkich.

Jeżeli wzrokiem badawczym wpatrzymy się w dzisiejszy ruch społeczny prowincji naszéj, dojrzymy w nim z pewnością dążenie do oświaty, i gdyby nic innego, to już powstające czytelnie ludowe wlewają nam przekonanie, że lud nasz ważność oświaty pojmować zaczyna. Pierwszym warunkiem rozwoju oświaty jest łatwość nabycia odpowiednich, a tanich książek. Zupełny prawie brak ich w piśmiennictwie naszém, skłania mnie do rozpoczęcia **wydawnictwa dziełek ludowych.**

Wydawnictwo obejmować będzie: żywoty świętych polskich, krótkie opowiadania z dziejów ojczystych i jeografii, oraz wiadomości z rzeczy gminnych i gospodarczych.

Rozpoczynam od drobnych, jednoarkuszowych publikacyj, stanowiących każda dla siebie osobną całość. Starać się będę o jak największą możliwą taniość, byle tylko powróciły się koszta nakładu, a jeżeliby okazał się jaki zysk, to będzie użyty na rozszerzenie działalności wydawnictwa, przez rozdawanie pewnéj liczby egzemplarzy bezpłatnie.

Takiéj pracy podejmując się, wiem aż nadto dobrze, że jéj siły jednego człowieka nie podołają, — że aby pożądane owoce przyniosła, powinna być popartą przez kraj cały. Głęboko o tém przekonany, odwołuję się też do obywatelskiéj gorliwości wszystkich mieszkańców naszéj prowincyi, i wzywam ich do współdziałania, upraszając wszystkich, komu rzecz oświaty ludu na sercu leży, do zajęcia się rozszerzaniem wydawanych przezemnie książeczek, już to osobiście, już to przez wskazanie chętnych ku temu osób. —

Listy adresować należy: Do Wydawnictwa dziełek ludowych Alfreda Młockiego we Lwowie, ulica Frenela, l. 138 7/4.

Upraszam Redakcje wszystkich pism polskich o powtórzenie niniejszéj odezwy.

Lwów dnia 17. października 1867.

*Alfred Młocki.*

— Nakładem *Józefa Goldszmita* rozpoczętém zostało w Warszawie Wydawnictwo, p. t.: **Wizerunki wsławionych żydów XIX. wieku**. Zeszyt I. obejmuje życiorys: „Sir Mosesa Montefiore“ — (z portretem) słynnego filantropa angielskiego, który największéj zasługi położył w niezmordowaném opiekowaniu się gminą izraelicką na Wschodzie, dokąd kilkakrotne odbywał podróże.

„Wizerunki“ zamieszczą w następnych zeszytach, jak o tém donosi prospekt p. Goldszmita, życiorysy: Rothschilda, Foulda, Alberta Cohna, Cremieux, Salomona Munka, Bogumiła Dawisona L. A. Frankla, Hirszfelda, Philipsona, Matiasa Rozena i innych.

## MODY.

Najpierwszą zasadą mody i dobrego gustu, jest stosowne ubranie, np. brunetka nie powinna nigdy używać tych kolorów, które

są stosowne blondynce, tj. kolorów mdłych i delikatnych, owszem do twarzy śniadéj najstosowniejsze są kolory żywe. Dla osoby smukłéj najstosowniejsze jest ubranie fałdziste i ozdobione różnemi przyborami; przeciwnie dla osoby słusznéj potrzebne jest obcisłejsze.

Po téj ogólnéj uwadze przechodzimy do opisania mody zimowéj: Kostiumy krótkie pozostają nadal bardzo w używaniu do wyjścia zwykłego. Widzieliśmy najnowsze ubrania z magazynu pani Pieffort, znanéj powszechnie z dobrego gustu. Jedne z nich są z cienkiego sukienka, wyszywane ściegiem łańcuszkowym; inne strojniejsze z materyi jedwabnéj, ubierane atłasem lub paciorkami czarnemi.

Zwracamy uwagę Sz. Czytelniczek na kostium „Pilot“, zrobiony z „Sarszu“ (jest to rodzaj ogrubniej flanelki), spodniczka spodnia jest całkiem gładka, druga na wierzchu podpinana przy każdém zeszyciu kotwicą złotą, krótki paletocik opatrzony szerokim kołnierzem. Wyż opisane ubranie stosowne jest dla osób młodych i smukłych.

Suknie wizytowe są cokolwiek krótsze i węższe jak w zeszłym roku były, lecz dotąd krają je w kliny.

Mówią dużo o koszyczkach przy ubraniach balowych, lecz do dzisiaj jest to dopiero w projekcie.

Staniczki z czasów Ludwika XV. z rękawkami z tegoż wieku już się ustaliły, jednak staniki gładkie, zapięte na guziki i rękawy wązkie, pozostają do zwykłego ubrania.

Zimowe paletoty są długie i mocno fałdziste.

Paletociki „Polka“ na boku spinane, zasługują na ogólne uznanie, jak również futerka z czasów Ludwika XV. Beduiny pozostają i nadal do teatru lub na bale.

Do ubiorów strojniejszych i do krótkich sukien używane będą lyońskie paski, bogate, których opis szczegółowy w następnym numerze podamy.

## Opis ryciny.

Na dołączonéj rycinie widzimy najnowsze bogato przybrane suknie jesienne, lecz podług krojów tychże sukien, które na arkuszu dołączamy, można je i mniéj kosztownie zrobić.

Osoba pierwsza nosi strój wizytowy, suknię długą klinową z paletotem w tyle mocno ogoniastym, którego krój na arkuszu pod L. 1—5. zamieszczony; pod L. 5. dołączyliśmy rękaw noszony oprócz rękawa otwartego, który może być z materyi téj co suknia, lub z téj, co paletot zrobiony. Brzegi paletota, jako też i suknia są ozdobione liściami aksamitnemi w wieniec ułożonemi, co bardzo ładnie i bogato wygląda.

Osoba druga nosi ubranie do wyjścia codziennego. Krótki paletocik i takiegoż koloru suknia krótka są w zęby wycięte, z boku różami z téj samej materyi zrobionemi, przybrane. Pod spodem widać spodnicę w odrębnym kolorze koronką obszytą. Krój paletocika jest na arkuszu pod L. 6—12.

Trzecia osoba ubrana także do wyjścia. Długa suknia klinowa z paletotem z jasnego aksamitu wełnianego, którego poły i epauletty wyłożone czarnym atlasem, pasek czarny atlasowy, od którego spadają z przodu takież szarfy. Pod L. 13—18. na arkuszu jest krój wyż opisanego paletota.

## Opis krojów.

Fig. 1.—5. Paletot osoby pierwszéj na rycinie. Na jednę szóstą część zmniejszony krój tegoż paletota, jest bardzo ładném ubraniem do wizyt. Rękaw paletota jest otwarty z czasu Ludwika XIII. Rękaw pod spodem może być z téj saméj materyi co paletot, lub taki jak pod paletotem noszona suknia. Krój obydwóch rękawów przedstawia Fig. 4—5. Powiększanie kroju opisaliśmy w poprzednich numerach. T a b e l ę w y m i a r ó w m o ż e m y j e s z c z e n a ż ą d a n i e p r z e s ł a ć.

Fig. 6.—12. Paletocik osoby drugiéj. Krój tegoż paletocika jest nie zupełnie obcisły, cały paletocik, jakotéż i szeroki rękaw są brzegiem w zęby wycięte, lamowane tasiemką stosowną do materyi na paletocie, lub ukośnym aksamitem lamowane i paciorkami wyszyte. Rękawek wąski pod spodem jest koloru spodnicy. Krój jest zastosowany na osobę, mającą pół szerokości piersi 44 centimetrów, w pasie 26, szerokość piersi 24, szerokość plec 14, długość plec 38, długość począwszy od kostki na karku przez ramię na dół z przodu 48, długość stanu pod pachą 20.

Fig. 13—18. Zimowy paletot osoby trzeciéj. Krój paletota jest dla osoby miernéj tuszy. Palatocik ten kraje się oddzielnie ze stanem Fig. 13—15, który jest zarazem wykładem ozdobiony, jakotéż poły jego umieszczone pod Fig. 16.

Fig. 19—21. **Zimowa katanka w naturalnej wielkości.** Katanka ta jest dla panienki od 15 do 16tu lat, robi się z kortu z obłożeniem futrzaném lub wyszyciem szmuklerskiém. Dół, kieszenie i rękawy są wycięte w zęby. Koło szyi daje się mały stojący kołnierzyk.

Fig. 22. **Nowe wyszycie.** Wyszycie to robi się paciorkami, szutaziem lub ściegiem łańcuszkowym stosownie do potrzeby, może być użyty do sukien, płaszczów, lub katanek.

## *Dodatek osobny.*

Model **paletocika polskiego.** Paletociki polskie okładane futrem i w razie potrzeby témże podbite, używane będą na zimową porę jako ochrona przy ogólnie noszonych krótkich sukniach. Zalecamy naszym paniom opisany paletocik nie tylko jako ciepłe ubranie, ale jako ubranie pełne gustu i elegancyi, nie przechodzące swą długością innych paletotów. Obłożenie futrzane jest na półćwierci łokcia szerokie. Nad futerkiem dołem i koło kieszeni jest bogate wyszycie. W grudniowym numerze dołączymy na rycinie model takiego paletocika z czarnego aksamitu lub kortu z jasném futerkiem, teraz dołączamy tylko krój tegoż, który wcześniéj nas doszedł.

## Korespondencja „Kaliny“.

**Do wszystkich Szan. Pren. naszych:** Zapowiedzieliśmy z góry, że będziemy się stosować do życzeń Pren. naszych. Częste wskazówki, listy, żądania — są nam jak zawsze wielce pożądane; tém bardziéj, gdy zwiększony obecnie szereg współpracowniczek i współpracowników naszych, stawia nas w możności zadowolenia wszelkich życzeń słusznych i wypowiedzianych wyraźnie — a zastosowanych do nizkiéj ceny pisma.

☛ Na zapytanie powtarzamy dawne uwiadomienie, że nie ma obecnie prenumeraty na „**Bibliotekę dla kobiet**“, jako całości — ale natomiast rozpisywaną będzie prenumerata na każde dziełko z osobna. Zanim to nastąpi, ogłoszone zostało tymczasem wydawnictwo: „**Pamiątki dla rodzin polskich**“.

***L.* Lipsk.** Mody są już tylko z ostatniego kwartału, szablonę z wymiarami możemy jednak przesłać.

***G.* w N.** Komplety są po zniżonéj cenie — ogłoszenie szczegółowe w poprzednim nrze.

**Prenumerata miejscowa „Kaliny“** wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

**Z przesełką pocztową:** rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

**Prenumerata zagraniczna:** bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

**Mody i kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

**Nuty** rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

**W Krakowie prenumerować** można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

**Reklamacje nieopieczętowane** nie opłaca się.

**Inseraty** (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.